RODZINA polska



MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
WARSZAWA

ROK X MARZEC 1936

1936 GARMISCH PARTENKIRCHEN



MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY
RODZINA POLSKA

ROK X. WARSZAWA–MARZEC 1936. Nr. 3.

CZEM BĘDZIE ŻYD W POLSCE?

W lutowym zeszycie „Rodziny Polskiej" postawił p. Janusz Rawicz pytanie „Co będzie z tym narodem?" Pytanie słuszne, bo Żydzi sami to pytanie stawiają i chcieliby rozwiązać własny problem zgodnie z własną racją stanu. Należy więc nam Polakom również znaleźć rozwiązanie sprawy żydowskiej zgodnie z polską racją stanu. Aby jednak to rozwiązanie znaleźć, trzeba poddać analizie siedmnaście lat naszego własnego „państwowego życia". Trzeba jasno postawić pytanie, czy ważkość elementu żydowskiego wzrosła, czy jego stan materjalny się podniósł, czy jego wpływ na życie narodu się powiększył?

Na wszystkie te pytania musimy, niestety, odpowiedzieć twierdząco. Nie znaczy to bynajmniej, że np. ogólny majątek Żydów w Polsce wzrósł w cyfrach bezwzględnych. Trzeba jednak stwierdzić, że wobec ogólnego wielkiego zbiednienia Polski, stan posiadania Żydów podniósł się znacznie kosztem Polaków. Narazie nie będziemy mówić o wpływach politycznych i kulturalnych, a zatrzymamy się na stronie materjalnej. Przystąpmy więc „sine ira", lecz „cum studio" do zanalizowania warunków, w których społeczeństwo autochtonów, Polaków, Białorusinów, Rusinów gorzej się rozwijało, niż element obcy, żydowski, mniej było odporne na kryzys, mniej umiało wyzyskać konjunkturę, jednem słowem okazało się konkurentem słabszym, który prawem selekcji znika z powierzchni. Jakim sposobem element, który dzierży i obrabia ziemię-żywicielkę i obrabia ją dobrze, element fizycznie silniejszy, element zdolny i pracowity, może w ciągu lat 17-tu zostać pobitym przez naród bezdomny, koczowniczy, bez uczucia przywiązania do ziemi, która nie jest jego ziemią. Jakim sposobem naród, który mógł być przez wieki barjerą chrześcijaństwa, który obronił Europę piętnaście lat temu przed nowoczesnym Dżengis-Chanem, nie może znaleźć sił w swoim własnym domu, aby się nie pozwolić z niego rugować?

Odpowiedź zupełnie prosta! Naród ten autochtonów został na początku swojego samoistnego bytu, po 150 latach niewoli, zarażony ciężką chorobą ustrojową, chorobą, która go toczy i wysysa z niego wszystkie soki, chorobą, która doprowadzi go do śmierci, lub ponownej niewoli, o ile się ją nie uleczy!

Chorobą tą jest *marksizm.*

Nie darmo twórcą teorji socjalistycznej był Żyd z Trewiru Chaim Mordochaj, który się przezwał Karolem Marksem. Jego następcy, którzy dalej rozwijali teorję socjalizmu i wprowadzali ją w życie, są również Żydzi: Kautsky, Lassalle, Liebknecht, Rojza Luksemburg. Z nowych Litwinow (Rosja), Vandervelde (Belgja), Blum (Francja), rozwijają dalej dzieło swojego mistrza. Panowanie socjalistów — tożto przygotowanie panowania Żydów! Warto dla takiego celu rujnować całe państwa, mordować miljony ludzi. Wszak Niemcy, chcąc zapanować nad światem, nie wahali się poświęcić życie i i zdrowie 20 miljonów ludzi. Dlaczegóżby się mieli wahać Żydzi! Gra warta świeczki, tylko niezawsze się udaje, jak to miało miejsce w wielkiej wojnie!

A teraz zastanówmy się, czy socjalizm jest synonimem panowania Żydów i czy twierdzenie, że na socjalizmie Żyd zarabia, a autochton traci, nie jest twierdzeniem gołosłownem? Dlaczego np. nie jest odwrotnie? Czemu socjalizm proletaryzuje Polaka, Niemca, Anglika, Rosjanina, a nie proletaryzuje w tym samym stopniu Żyda? Różnicy skutków należy szukać primo w różnej formie posiadania.

Jeżeli odrzucimy kraje takie jak Chiny, Japonja, Indje, kraje posiadające starą, własną kulturę, i do których Żydzi nie przeniknęli, a zechcemy się zastanowić nad resztą cywilizowanych państw, to widzimy przedewszystkiem obstrukcyjną działalność Żydów i socjalizmu w państwach o chrześcijańskiej kulturze. Teorja socjalizmu, nawskroś materjalistyczna, dużo mniej jest niebezpieczną dla niechrześcijan, niż dla chrześcijan. Złudna teorja wyrównania niesprawiedliwości społecznej znajduje znacznie mniej oporu w człowieku, któremu od dziecka wpajają miłość bliźniego, niż u człowieka, który bliźniego nienawidzi. Przytem powodzenie materjalne dla chrześcijanina nie jest negacją dóbr duchowych; przeciwnie dobro materjalne powinno ustępować dobrom duchowym. Suma wysiłków będzie zawsze podzielona na zdobycie i utrzymanie i jednych i drugich. Ziemia, ten fundament życia gospodarczego, nie będzie nigdy traktowana przez chrześcijanina jako wyłączny dawca zysków. Przywiązanie do ziemi będzie istnieć bez względu na opłacalność produkcji.

W mniejszym stopniu odnosi się to do kamienicy, fabryki, warsztatu, lecz i tutaj moment przywiązania gra pewną rolę.

Te cechy przywiązania są właściwe każdemu narodowi osiadłemu, nie mają natomiast tych właściwości narody koczownicze. Inaczej czuje autochton, inaczej obcy przybysz.

W przeważnej ilości krajów cywilizowanych własność nieruchoma jest w posiadaniu ludzi osiadłych, natomiast własność ruchoma, t. j. pieniądz, jest w posiadaniu Żydów. Wielkie banki są prawie wyłącznie we władaniu Żydów, lub międzynarodowego kapitału, również przeważnie żydowskiego.

Nie chcąc się rozpraszać, nie będziemy się zagłębiać w analizę stosunków gospodarczych innych krajów. Być może, że np. społeczeństwa anglosaskie są bardziej odporne, być może, że odsetek Żydów jest tam zbyt mały, aby decydujący wpływ wywierać, i być może, że socjalizacja tych społeczeństw mniej wpływa na ich upadek materjalny, a wzrost dobrobytu i wpływów żydowskich. Jeżeli natomiast zanalizujemy stosunki polskie, to upadek materjalny Polaków w stosunku do Żydów jest wprost zastraszający. Przypomnijmy więc sobie nasze pociągnięcia socjalno-gospodarcze i zobaczmy, jak się one odbiły 1) na rdzennej ludności, 2) na Żydach.

I. *Rolnictwo.*

Zahamowanie obrotu ziemią. Ceny maksymalne. Zakaz dzielenia większych obszarów pomiędzy dzieci. Wysoki podatek spadkowy. Danina lasowa na rzecz odbudowy. Groza wywłaszczenia i upaństwowienia lasów. Powiększone podatki. Dowolność wymiarów podatkowych. Progresja opodatkowania ziemi. Świadczenia socjalne. Rozbudowa gospodarki samorządowej. Monopole rzezaków. Opłaty wjazdowe.

II. *Nieruchomość miejska.*

Ochrona lokatorów. Rekwizycja mieszkań.

III. *Przemysł i handel.*

Dowolność opodatkowania. Świadczenia socjalne. Progresja podatku dochodowego. Podwójne opodatkowanie. Lichwa.

IV. *Wolne zawody.*

Adwokatura. Lecznictwo. Piśmiennictwo.

Każda z powyższych dziedzin wymagałaby kilkotomowego dzieła. Zadowolimy się więc wyłowieniem tylko najbardziej charakterystycznych momentów.

Jedną z pierwszych ustaw była ustawa o obrocie ziemią.

Naogół chłop zaraz po wojnie miał pieniądze, a duże obszary dworskie spowodu braku inwentarza leżały odłogiem. Zamiast ułatwić chłopu nabywanie ziemi za gotówkę, a obszarnikowi zbywanie jej i otrzymanie brakującego kapitału obrotowego, robiono wszelkie utrudnienia, wprowadzono szeregi urzędów, kazano społeczeństwu ponosić ich ciężar, nie wchłonięto temsamem tezauryzowanych pieniędzy, a drukowano nowe na potrzeby państwa. Chłop został przy bezwartościowych pieniądzach, obszarnik nie inwestował, bo nie miał za co. Wprowadzono również ceny maksymalne bez względu na spadek pieniądza. Ceny maksymalne mogły tylko bić w producenta, bo handlarz był nie do uchwycenia. Uprzywilejowanie handlarza, prawie wyłącznie Żyda, niewątpliwe.

Zakaz podziału majątku zmuszał do fikcyjnych przymusowych sprzedaży (licytacje T. K. Z.) i płacenia stempli alienacyjnych.

Podatek spadkowy wykluczał przy nieruchomości ziemskiej spadkobranie „ciepłą ręką", które w kapitałach ruchomych (Żydów) stało się regułą. Majątki i tak zniszczone przez wojnę, musiały oddać za darmo na rzecz odbudowy 3 pełne roczne etaty rębu (30% dziesięciolecia). Wolne natomiast od podatku były tartaki i materjały na nich leżące, czyli nowy przywilej Żyda wobec Polaka. Pierwszy rząd p. Moraczewskiego zapowiedział upaństwowienie lasów, naturalnie bez odszkodowania. Teza ta była stale popierana przez stronnictwa P. P. S. i Wyzwolenie. Ale unikano najstaranniej zapowiedzi upaństwowienia banków. Logiczna konsekwencja całego nastawienia: Lasy były polskie, banki żydowskie! Podatki gruntowe powiększono przy pierwszej stabilizacji złotego o 100%. Dodano do tego progresję, która przy dużych objektach dochodziła 100%, podatek więc podniesiono 4-krotnie. Nic podobnego nie spotykamy w domenie gospodarki żydowskiej. Podatek dochodowy wprowadzono dla rolnictwa całkiem dowolny, gdyż trudno nawet pomyśleć, aby chłop 30-morgowy, a nawet mały folwark mógł prowadzić prawidłową księgowość.

Najlepszym sprawdzianem tej dowolności jest r. 1931-szy. Według oświadczenia ówczesnego ministra rolnictwa p. Janty-Połczyńskiego w roku tym rolnictwo dało pół miljarda strat, a według Rocznika Statyst. zapłaciło 21 miljonów podatku dochodowego!

Świadczenia socjalne również poważnie dotknęły rolnictwo. W Kongresówce coprawda nie wprowadzono sławetnych Kas Chorych, które zrujnowały Poznańskie i Pomorze, natomiast dostatecznie dotkliwe inne ubezpieczenia, których świadczenia w stosunku do opłat są prawie żadne, zaciężyły poważnie na warsztatach rolnych. Obłędna rozbudowa i etatystyczna gospodarka samorządów, legjony funkcjonarjuszów, dokonały reszty. Monopole rzezaków (ubój rytualny) spowodowały taką rozpiętość cen pomiędzy żywcem a mięsem, że Rząd musiał się wdać w tę sprawę. Komisje cennikowe dały odwrotne wyniki, gdyż cena maksymalna stawała się umownie ceną minimalną i mamy dziś taki absurd, że przed wojną cena żyta i cena chleba razowego była ta sama, a dziś przy komisjach cennikowych żyto kosztuje na wsi 10 gr. za kg, chleb natomiast 20 gr!

Przechodząc do nieruchomości miejskiej, to pozornie Żydzi tak samo odczuli ochronę lokatorów, jak Polacy. Ale tylko pozornie! Do r. 1924, t. j. do czasu nowelizacji ustawy, o ile Żyd mieszkał w domu Polaka, płacił tylko ustawowe komorne, t. j. mniej niż zero. O ile nieruchomość przeszła w ręce Żyda, normowała komorne specjalna żydowska organizacja. Rzecz prosta, że nieruchomości pozostające w rękach polskich, a w dzielnicach żydowskich położone, musiały siłą rzeczy przejść w ręce Żydów. Jedną z plag były rekwizycje mieszkań, nietylko dla wojska, co jest rzeczą konieczną i słuszną, lecz również dla urzędników, których przybywało w miarę rozbudowy funkcyj państwa, niezliczone ilości. Siłą rzeczy woleli oni mieszkać w mieszkaniach polskich, niż żydowskich, i dlatego pierwsze zostały silniej pociągnięte do świadczeń.

Przechodzimy do jednego z naszych najboleśniejszych zagadnień. O ile własność rolna dotychczas choć tytularnie należy do Polaków, to w przemyśle i handlu zmiany nastąpiły w tempie wprost piorunującem. Zostało to spowodowane częściowo polityką banków, częściowo podatkami i świadczeniami. Dowolność wymiaru podatkowego, podstawowa teza rządów socjalistycznych, jest główną przyczyną tych przemian i odporność elementu polskiego okazała się tutaj wyjątkowo nikłą. Pochodzi to częściowo z właściwości i mniejszego przy-

wiązania do pieniędzy Polaka wogóle, częściowo z przyczyn czysto organicznych. Polak niema ani dostatecznej cierpliwości, ani zajadłości rasy semickiej, która potrafi bronić się zębami i pazurami. Płacenie podatku uważa przytem Polak za obowiązek wobec Państwa, więc nawet niesłusznie wymierzony podatek dla świętego spokoju gotów zapłacić, o ile tylko może, i zadawalnia się częściowem odtargowaniem. Żyd natomiast nie daruje swego, w czem mu jego czysto materjalistyczny światopogląd pomaga. Ukrycie dochodu lub obrotu połączone byłoby u Polaka ze znacznym ryzykiem, możliwością donosu, a w gruncie z poczuciem czynu nieuczciwego. Ten sam czyn u Żyda, wobec specyficznej etyki talmudu, nie byłby rzeczą zdrożną, a znany solidaryzm wykluczyłby delatorstwo. Ale odrzućmy na bok wszelkie „nieprawidłowości". Należy je brać pod uwagę, lecz nie można zdrowej polityki skarbowej na nich oprzeć. Przyjrzyjmy się raczej stronie organicznej.

Interes przemysłowy lub handlowy w rękach polskich ma przeważnie jednego właściciela, gdyż małżeństwa rzadko mają rozdział majątkowy. U Żydów jest inaczej.

Rozdział majątkowy jest u Żydów rzeczą powszechną. Również powszechnem jest przyjęcie syna lub córki na wspólnika do interesu. Jak więc będzie wyglądać podatek dochodowy dla kupca Polaka, który osiągnął 20.000 dochodu, a jak dla Żyda, mającego żonę i dorosłego syna; którzy będą wspólnikami?

Polak zapłaci od	20.000 zł		2464 zł
Żyd zapłaci „	8.000 „	576 zł	
„	7.000 „	454 „	
„	5.000 „	283 „	
			łącznie 1243 zł

Jeżeli do tego dodamy spryt w ułożeniu bilansu, zajadłość obrony, bezwzględne poparcie drugiego Żyda w komisji odwoławczej, to dojdziemy do przekonania, że tak chwalone przez pp. socjalistów wyrównanie niesprawiedliwości społecznej przez progresję podatku dochodowego jest olbrzymim przywilejem dla Żydów.

Weźmy następnie świadczenia socjalne! Polak, mający pracownika umysłowego, będzie musiał za niego płacić wielkie świadczenia społeczne, dochodzące nieraz do 30% pensji, Żyd dopuści fikcyjnie pracownika w 5% do współki i już jest wolny od świadczeń.

Charakterystyczną formą są żydowskie spółki akcyjne, w których cały zysk rozbiera się w formie zarobkowej, a temsamem unika podwójnego opodatkowania.

Londyn: gmach parlamentu od strony Tamizy, most westminsterski, w głębi katedra Westminster



Dochodzimy do wniosku, że tam, gdzie jest progresja, gdzie jest dowolność wymiaru i anonimowość, element żydowski ma olbrzymią przewagę nad polskim.

Skutki tego widzimy w coraz większym zalewie centrum stolicy. Nie mówiąc już o Lwowie i Krakowie. Tam handel polski zaczyna być unikatem.

Wolne zawody są niczem innem, jak pochodną poprzednio omówionych dziedzin naszego życia gospodarczego. Dla wykształcenia prawnika, lekarza, publicysty trzeba pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Karjera ich jest zależna również od stanu materjalnego społeczeństwa, któremu służą. Trudno się dziwić, że właściciel firmy Żyd będzie wolał adwokata Żyda, niż adwokata Polaka. Psychicznie będą sobie bliżsi i prędzej się zrozumieją. Lekarz Polak prędzej może się ostać, lecz wobec coraz większej proletaryzacji Polaków, nie będzie się mógł kształcić. Co się tyczy publicystów i pisarzy, to może Polaków jedynie uratować nawrót do „dobrej książki" i do „dobrego pisma". Dopóki będzie gonitwa za sensacją, dopóki publiczność polska nie odrzuci sama niezdrowej, rozkładowej literatury, tak długo pisarz i publicysta żydowski będzie górą.

I tu również socjalizm pracuje dla Żydów. W pierwszej fazie szerzy się indyferentyzm religijny, wyśmiewa wstecznictwo i kołtuństwo, wychwala postęp. Później przychodzi następna faza, którą widzimy w Rosji, Meksyku. Boga ogłasza się jako wroga oświeconej ludności, służenie Mu jest występkiem wobec państwa, zakon jest kontrrewolucją! Nad wszystkim ma królować złoty cielec, pozostający na usługach międzynarodówki!

A więc popieranie pisarzy t. zw. „postępowych" jest również jedną z tez socjalizmu. A poprzeć ich przez rządy sprzyjające jest tak łatwo. Poprostu do programów szkolnych włącza się dzieła pisarzy „postępowych", a usuwa pisarzy „wstecznych" katolickich i tych, którzy z ducha chrześcijańskiego, a nie z materjalizmu czerpią swe natchnienie!

Dla pierwszych przymusowy odbiorca — kształcąca się młodzież, dla drugich resztki sproletaryzowanego społeczeństwa. To samo dzieje się z przemysłem filmowym, przemysłem, który całkiem jest opanowany przez Żydów.

Autorzy scenarjuszy, rzecz prosta, tylko wśród postępowców są wybierani. Nie lepiej zaczyna się dziać z radjem. Nic dziwnego, że Hitler, chcąc odżydzić społeczeństwo niemieckie, zaczął od książki, pisma, radja, filmu. Remarque'i, Manny i Einsteiny zostały skonfiskowane i są prześladowane na równi z pornografją.

Jak Żydzi potrafią przy rządach socjalistycznych materjalnie i wpływami podnieść się nad resztę społeczeństwa, dowodem niech będzie, że 60% wyższych urzędników, to Żydzi, wtedy gdy ci sami Żydzi wynoszą zaledwie 1.8% ludności. Dla nich więc dziś są nowe luksusy i wzrastający dobrobyt, o którym prasa sowiecka wciąż mówi, dla reszty ludności jest kołchoz, Sołówki, kopanie kanałów i przeciętny zarobek = 180 kg chleba (36 zł) miesięcznie! I nic tu nie pomogą zmienione nazwiska Bronstein — Trocki, Rosenfeld — Kamieniew, Apfelbaum — Zinowjew, Wałach Finkielstein — Litwinow i t. d.

Robią oni wszyscy politykę na rzecz i dobro Żydów, tak jak we Francji Lejba Blum, w Belgji — Chaim Vandervelde (Speier), w Austrji Jankiel Adler, w Polsce Posnery, Liebermanny, Diamandy. Jest to nietylko zrozumiałe, lecz i całkiem słuszne i z ich punktu widzenia nawet moralne i chwalebne. Mniej chwalebnem natomiast jest poddawanie się tej polityce przez Polaków i podkopywanie własnej narodowej egzystencji! Wszak wiadomem jest, że przy etatystycznej gospodarce, głównym dostawcą i odbiorcą będzie Żyd, a nie Polak. Wszak podczas wojny, która jest tym pełnym etatyzmem, bo i surowce i fabrykaty pochłania Państwo, jedynym dostawcą jest, był i będzie Żyd. Konia z rzędem temu. który podczas wojny w takiej Austrji widział innego dostawcę, niż Żyda! A pomimo tego są obłąkańcy, którzy chcieliby widzieć stale Państwo jako fabrykanta, handlarza, odbiorcę!

Na zakończenie chciałbym jeszcze dodać, że wszelkie kwestjonowanie własności, jako podstawy bytu i istnienia Państwa, wprowadza wieczny stan niepewności, tezauryzację złota, ryzyko kapitału, a temsamem zamiast należnych kapitałowi niewielkich odsetek, wprowadza jako regułę lichwę. Kto na lichwie zarabia i nią się głównie trudni, wiemy wszyscy dostatecznie.

Ayott.

KOŁYSANKA

Noc ciemnym welonem
przysłania świat cały,
liljowy mrok okrył już ziemię.
W kołysce cichutko
zasypia mój mały
i kotek na piecu już drzemie...
Nie kończą się jeszcze
zajęcia matusi.
Ot znowu podarte ubranie
Dla synka swojego
scerować dziś musi.
Śpij, Jasiu, śpij, moje kochanie!
Mój mały był grzeczny
Śpi teraz cichutko.
— Szczęśliwą ci nockę daj Boże!
Okryła cię matuś,
Masz miękko, cieplutko
— choć ciemno i zimno na dworze...
Knot w lampce wciąż skwierczy,
przy piecu kot mruczy
i sąsiad — świerszcz gada w kominku.
Tak cicho, tak miło,
choć w polu wiatr huczy...
Ja jestem przy tobie, śpij, synku....

Alina Kwiecińska.

ŚNIEG

Śnieg pada cichy, puszysty i miękki,
W srebrne gałązki spowija sady.
Na zwiędłe liście co wypadły z ręki,
Na dzikie róże i na winogrady,
Które się z okien spuszczają w nieładzie
Niewymówione, piętno żalów kładzie.

Martwo, milcząco, zimno i powoli,
Bez jęków bólu i bez drżeń konania,
Że już nie słychać serca, które boli,
Że już nie widać łzy, co grób osłania...
Tylko się przestrzeń rozpościera blada
I sen ogarnia... Śnieg pada, śnieg pada.

W oczy się sypie tak równo i sennie,
Tęsknoty, rwania bezsilne, zaciera.
Serc uderzenia, co zmilkły daremnie,
Żale bez jutra w jeden kurhan zbiera...
I niema szczęścia... tylko smutek włada,
Biała mgła krąży...
Śnieg pada, śnieg pada.

Janina Przecławska.



JÓZEF ST. CZARNECKI

CZUŁY MAŁŻONEK DOBRY OJCIEC MĄDRY MONARCHA

Śmierć króla Jerzego V wywołała niewątpliwie szerszy odruch żalu w całem społeczeństwie angielskiem. Zmarły monarcha oddawna już zaskarbił sobie serca swego narodu, który ujrzał w nim wcielenie pewnych swoich najbardziej klasycznych cnót i wyraz swych najbardziej typowych tendencyj historycznych.

Król Jerzy V zarówno w życiu prywatnem jak i publicznem wyrażał dzięki swym zaletom czysto ludzkim jak i wyrobieniu otrzymanemu w atmosferze starej dynastji, od paru wieków zrośniętej z Anglją, to wszystko co angielski commonsense uznaje za kwintesencję historji i kultury anglosaskiej.

Król był przedewszystkiem, jeśli mowa o jego życiu prywatnem, wyrazem kultu Anglosasów dla rodziny. Żeby zrozumieć ten kult, trzeba uprzytomnić sobie rolę, jaką w społeczeństwie angielskim gra Biblja, Pismo św. Jest ono niewyrugowanym dotąd przez żadne nowatorstwa elementem składowym atmosfery duchowej, a zwłaszcza rodzinnej Anglosasów.

Stąd pewna patrjarchalność rodziny angielskiej, stąd to starotestamentowe solenne podejście do funkcji i zadań rodziny. Stąd powaga ojca, jako głowy prakomórki społecznej, stąd liczebność potomstwa, jako widomy znak błogosławieństwa Bożego, oczywisty dowód, że Bóg chce zachować krew sprawiedliwego. Stąd miłość wzajemna małżonków, znajdujących w trwałym swym związku główną ostoję i sens życia.

Te wszystkie elementy i cechy znajdujemy w pożyciu rodzinnem zmarłego króla. Królewscy małżonkowie — Jerzy i Marja tworzyli według możliwej dla ludzkiego oka oceny — stadło zgodne, pobłogosławione licznem potomstwem, pięciu synów, z których czterech uchowało się i dziś mogą być poczytani za kwiat męskiej urody i siły Anglików, oraz jedna córka.

Obok: obecny król Anglji Edward VIII
Poniżej: zmarły król Anglji Jerzy V





Powyżej: pierwszy rząd: książę Karol Harewood, król Norwegji, książę Athe. Drugi rząd: król rumuński, król duński i prezydent Francji. Trzeci rząd: król Belgji i król Bułgarji. Czwarty rząd: następca tronu włoskiego, regent Jugosławji i następca tronu szwedzkiego

Kondukt ze zwłokami króla angielskiego Jerzego V



Obok: powóz królowej-wdowy Marji w kondukcie pogrzebowym



Poniżej: ulubiony pałac króla angielskiego Sandringham i otaczające go ogrody



Małżeństwo to było dziełem czystej, bezinteresownej miłości. Król Jerzy nie był bowiem, jako drugi syn, przeznaczony na tron. Korzystał więc z dużej swobody w swych prywatnych sprawach i poszedł za czystym odruchem serca, poślubiając piękną i dobrą księżniczkę krwi coprawda, ale z rodu oddawna władzy pozbawionego.

I ta miłość była kapitałem zakładowym szczęścia tych dwojga ludzi, którzy nagle przez przyjazne zrządzenie losu, stanęli razem w monarszej purpurze na czele największego w świecie Imperjum.

W tej niespodziewanej roli prawdziwie oddaną pomocnicę znalazł w swej żonie. Umiała ona być dobrem natchnieniem jego rządów, umiała, dyskretnie zresztą, dźwigać ciężar rządów, służąc poufną radą, nie wysuwając się nigdy naprzód. A rada jej była zawsze śmiała, idąca na spotkanie trudności, i król chętnie jej słuchał.

Tak było na samym wstępie panowania, gdy młodzi królestwo udali się na koronację do Indyj. Zapowiadano tu rozruchy, mające na celu przeszkodzenie lub przynajmniej zakłócenie aktu koronacyjnego.

Dworzanie króla przestrzegali i raczej odradzali. Na to wystąpiła królowa i zdecydowanie zaznaczyła, że koronacja odbyć się musi jaknajprędzej mimo wszystko. Koronacja się odbyła, i co najciekawsze, bez żadnych przeszkód.

Naogół jednak królowa Marja nie starała się nigdy odegrać żadnej roli na oficjalnej arenie, raz tylko jeden dała się skłonić do publicznego przemówienia w wypadku poświęcenia jakiejś instytucji jej imienia. Całkowicie zato oddana była sprawie wychowania dzieci i stworzenia ciepłej atmosfery ogniska domowego, w tem właśnie widząc najważniejszą swą funkcję. Istotnie, zapewnienie władzcy wielkiego Imperjum radości życia rodzinnego, ciszy ogniska domowego, w której mógłby szukać schronienia po trudach i udrękach swej służby publicznej, to zadanie bardzo wielkie i w swym zakresie odpowiedzialne.

W tej ciszy domowej niewątpliwie król i królowa powierzali sobie niejedną sprawę i znana nam już monarsza iście inicjatywa królowej niewątpliwie zaważyła na decyzjach.

A przyszły wkrótce chwile wymagające dużej energji. W cztery lata po objęciu tronu wybucha w naddunajskiej Europie wojna. Jest ona zwiastunem wielkiej burzy, w której mają się wyładować wszystkie pioruny międzynarodowych dysproporcyj.

W którą stronę ma ta burza się skierować i na kim głównie wyładować, zależy to niewątpliwie od decyzji Anglji.

Do tej decyzji przybywa coraz więcej elementów: wystąpienie Niemiec, Francji. Wreszcie Anglja rzuca swój miecz na szale dziejów.

Występuje przeciw Niemcom. Dawno już imperjalistyczne zakusy, wydymane niezręcznie przez pyszałkowatego Wilhelma II-giego, zaczęły drażnić Anglję. Musiała przyjść chwila decydującej rozprawy. Przedewszystkiem o panowanie na morzach.

Anglja zdruzgotała w wyniku wojny morskie aspiracje Niemiec, zgniotła też tureckie imperjum, najgroźniejszego swego rywala na azjatyckim wschodzie.



Delegacja polska z ambasadorem nadzwyczajnym gen. Sosnkowskim na czele, przed odjazdem z Warszawy do Londynu



Trumna ze zwłokami Króla Jerzego V w Westminster Hall

Dr. med. KAZIMIERZ POŁTOWICZ

ULECZALNOŚĆ RAKA

Nieuchwytna co do swej istoty choroba raka, szerząca się w ostrem tempie wśród zmagającej się cierpieniem ludzkości, zbudziła żywy odruch w postaci niestrudzonego frontu przenikliwych badań i obserwacyj. Wielu uczonych stanęło pod broń naukowej myśli, usiłując wydrzeć naturze jej tajemnice. Badacze oparli swe wnioski na rozległym materjale, zebranym przez specjalnie powołane zakłady jako to: Instytut rakowy w Berlinie, Wiedeńskie Towarzystwo Lekarskie dla badań nad rakiem, Urząd Zdrowia w Wiedniu i wiele in., oraz na danych pism, poświęconych temuż problematowi, wśród których czołowe miejsce zajął „Zeitschrift für Krebsuntersuchung".

Pierwszem zagadnieniem, które należało rozwiązać, była patogeneza raka, t. j. kwestja dla czego i w jaki sposób rak powstaje w organizmie, gdyż wiadomości te dałyby nam drogowskazy ku zwalczaniu choroby. Niestety! pod tym względem jesteśmy dopiero na pierwszym etapie drogi, wiodącej do rozwiązania zadania. Toteż powstała spora ilość hipotez i teoryj. Dane szczegółowe, zebrane w ciągu roku przez wszystkie zakłady lecznicze Wiednia i opracowane przez d-ra Kratina, rzucają światło na pewne właściwości nowotworu.

Wszystkich chorych na raka w ciągu roku było w Wiedniu 3.500; w tej liczbie 2 tys. kobiet i 1.500 mężczyzn. Przytem mężczyźni przeważnie, bo w 50% przypadków, chorują na raka przewodu pokarmowego; a więc na pierwszem miejscu raka żołądka, następnie — języka, przełyku, wątroby, jelit, odbytnicy, podczas gdy u kobiet mniejwięcej w tym samym stosunku są porażone narządy małej miednicy (przeważnie uterus) i sutki. Podobne stosunki, jak w Wiedniu, wykazały statystyki i innych większych miast Europy (Berlina, Genewy, Kopenhagi, Hamburga, Triestu, Kolonji i in.). Taki wybór płci, oraz usadowienia w różnych narządach tego złośliwego nowotworu w związku z innemi danemi statystyki może w przyszłości wyjaśnić etjologję tego ciężkiego cierpienia. Poza rejestracją przypadków raka oraz ścisłego badania i notowania pierwotnych cech i przebiegu poszczególnych wypadków, uczeni przeprowadzili znaczną ilość eksperymentów nad zwierzętami, roślinami, wreszcie w laboratoryjnych probówkach w celu wykrycia przyczyn powstawania raka, jednak do jakiegoś porozumienia, sprowadzenia poglądów do wspólnego mianownika i uzgodnienia poglądów dotąd nie doszło. Istnieje więc kilka teoryj powstawania tych złośliwych nowotworów. Przytoczę niektóre perypetje myśli naukowej.

* * *

W drugiej połowie przeszłego wieku ogólnie uznaną była teorja Cohnheina, według której rak jest wynikiem pewnego zaburzenia w rozmieszczeniu tkanek podczas życia embrjonalnego. Np. zabłąkana tkanka nabłonkowa w małej ilości zamiast właściwego swego miejsca, zasklepia się wśród tkanki łącznej. Tu do czasu przebywa bez szkody dla ustroju; lecz oto ulega jakiemuś podrażnieniu, urazowi, lub długotrwałemu ugniataniu i wtedy zaczyna się rozrastać; tworzy się guz. Przeciwko teorji tej, zwanej u Francuzów anarchic cellulaire, wysunięte zostały rozmaite zarzuty i nie zdołała ona utrzymać się na powierzchni życia. Skolei nowy pogląd się ustalał. Rak został przyrównany do innych chorób infekcyjnych. Wysiłki zostały skoordynowane ku poszukiwaniu mikrobów. Prof. Podwysocki z Kijowa mniemał, że pierwiastkiem zakaźnym jest mikrob, wytwarzający kiłę (narośl) kapusty. Dr. Brehmer niedawno ogłosił, że we krwi chorych na raka odkrył pasorzyta, któremu przypisuje wywołanie choroby. Przekonanym zwolennikiem infekcyjnej teorji raka jest prof. Borrel ze Strassburga; chociaż odkrywa on rozmaite bakterje w rakowych tkankach, wznosząc się jednak do poziomu bezstronności, nie uznaje on zarówno własnych, jak i przez innych „łowców mikrobów" odkrytych tworów — za specyficzne rakowe. Prof. Blumenthal, (Beograd, uprzednio Berlin), który winien być uznany za instancję

Król Jerzy, jako marynarz z zamiłowania, niewątpliwie musiał silnie zaważyć na tych decyzjach antyniemieckich.

Po latach sukcesów przyszły klęski. Anglja musiała nawet na morzach nieco ograniczyć swą potęgę, ustępując od zasady, że jej flota ma zawsze stanowić sumę flot dwu innych największych państw morskich.

Lecz wśród tych trudności zewnętrznych i wewnętrznych, spowodowanych rozterkami socjalnemi, żeby tu wspomnieć tylko o strajku węglowym, król Jerzy umiał zawsze zachować spokój, powagę, a przytem dobroć monarchy, który kocha swój lud.

Zdarzyło się raz, że wśród poczty doręczono list zaadresowany niewprawną ręką, „King George we flocie królewskiej" — król otworzył list i wyczytał, że jakaś Sally pragnęłaby ze swym ukochanym Jerzykiem królem (= king George) pójść do kina. Król domyślił się, że zachodzi tu omyłka spowodu nazwiska, kazał przez dowództwo floty wezwać King George'a i na audjencji w pałacu dał mu bilecik polecający do komendanta, na urlop jednodniowy.

Umieć znaleźć wśród poważnych spraw chwilę na rzeczy proste, na życzliwy stosunek do człowieka w jego małych kłopotach — oto zaco kochali Anglicy swego króla, niemniej jak i królową Marję, która potrafi, nie mówiąc o licznych dziełach miłosierdzia, wyjechać skromną karetą na miasto, by w którejś z odległych dzielnic czynić drobne zakupy, jak zwykła obywatelka.

Częstym gościem królewskiego gabinetu były dwie księżniczki — małe wnuczki króla. Wślizgiwały się tam przy lada okazji i król umiał zawsze dla nich znaleźć chwilę serdeczności. Zresztą jedna z księżniczek — mała Elżbietka — jest przerozkosznem stworzonkiem, istna Shirley Temple, które wstępnym bojem zdobywa wszystkie serca i zdumiewa wszystkich swym sprytem.

Małe księżniczki najtrudniej się godzą z myślą, że kochany dziadzio już nigdy nie zasiądzie w swym fotelu gabinetowym, że już nigdy nie wdrapią się na jego kolana.

I wielu, bardzo wielu Anglikom trudno pogodzić się z myślą, że ich umiłowany monarcha nigdy już nie przejedzie w otwartym powozie przez miasto w drodze do Westminster, czy do Ethon na wyścigi i że spod wąsa sumiastego nie rozbłyśnie już nigdy dobrotliwy przyjazny uśmiech, witający serdecznie nie poddanych, ale współobywateli wielkiego imperjum.

miarodajną w tych kwestjach, godzi niejako ścierające się obozy. Wychodząc z założenia, że jakkolwiek nie udaje się znaleźć specyficznego zarazka raka, to jednak wobec możliwości przenoszenia choroby raka przez krew ptaków chorych na ptaki zdrowe, uznaje on istnienie jakiegoś czynnika (movens) rakotwórczego.

Jest to zresztą uchylenie tylko rąbka tajemniczej osłony.

Dlaczego jednak rak (który może rozwijać się na każdej części ciała) okazuje szczególniejsze upodobanie dla pewnych narządów (np. przewodu pokarmowego)?

Odpowiedź na to pytanie daje nam również zwolennik zakaźnej teorji raka, prof. Smith, który utrzymuje, iż zarazek, będąc wprowadzony do przewodu pokarmowego, ma własność zatrzymywać się na bliźnie, jaka często spotyka się w układzie trawiennym: na języku wskutek zranienia ostrym pieńkiem zęba, w przełyku od oparzenia, w żołądku przy nadkwasicy, w jelitach po tyfusie, czerwonce i t. d.

Ale na tem nie koniec. Kilku praskich badaczy przypisuje znaczny wpływ na rozwój raka w przysadce mózgowej, która rzeczywiście przyczynia się do bujnego wzrostu tkanek (Acromegalia).

Dalszy punkt zwrotny: rak powstaje skutkiem upadku siły życiowej komórek; skutkiem zaburzeń wewnętrznego wydzielenia; wreszcie — pod wpływem upośledzenia w przewodnictwie nerwowem.

Oto są odpowiedzi na pytanie, co wie nauka o pochodzeniu raka.

* * *

Z tego, co poprzedza, widzimy, że przyczynowe zapobieganie, ani leczenie przy dzisiejszym stanie nauki nie są możliwe.

A pomimo to — czy rak jest uleczalny? Tak! Ale przeważnie tylko w początkowym okresie choroby.

Stąd wypływa konieczność rozpoznania tego pierwszego etapu rozwoju raka, aby móc swe obawy w porę wyznać ludziom wiedzy.

O ile rak jest powierzchowny lub zlokalizowany na miejscach dostępnych wzrokowi, przeoczyć go trudno. Każdy narost jest podejrzany, zwłaszcza w wieku starszym. Podejrzywamy zaś raka, gdy mamy do czynienia z guzem nieruchomym na swem podłożu, o powierzchni niegładkiej, pagórkowatej, t. j. usianej wzniesieniami różnej wielkości i kształtu; skóra, pokrywająca nowotwór, również bywa przyrośnięta do jego powierzchni. Tak już w początkowem stadjum raka gruczołu piersiowego kobiecego, kiedy jeszcze innych oznak brak, daje się stwierdzić, że fałd zrobiony na skórze, zamiast wznieść się dogóry, zagłębia się wdół, a sama skóra posiada liczne małe klęśnięcia, z czego przypomina skórkę świeżej pomarańczy. Jest to oznaka znamienna, chociaż zrzadka zdarza się i przy innych cierpieniach sutka.

Daleko trudniej jest pochwycić na początku rak narządów wewnętrznych, np. przewodu pokarmowego.

Wszystkie objawy, występujące przy raku (brak łaknienia, odbijania, wymiotów, bóle w dołku podpiersiowym i inne) zdarzają się i przy innych cierpieniach.

Dlatego nie wolno zaniedbywać wczesnego leczenia chorób przewodu pokarmowego, gdyż badanie kliniczne może wykryć wiele niespodzianek.

Podobnie jak najczęstszą lokalizacją raka u mężczyzn bywa żołądek, u kobiet cierpieniu temu podlega przeważnie macica, portio vaginalis uteri et corpus uteri). Na szczęście znaki ostrzegawcze pojawiają się tu dość wcześnie i są bardzo wyraźne. Przypuśćmy, że u osoby starszej w okresie przekwitania nastąpiły krwotoki w jakiś czas, który może trwać miesiące lub lata, po ustaniu perjodów. Krwotoki te są *bezbolesne*. Należy natychmiast zwrócić się do lekarza specjalisty. Bezbolesność bowiem wcale nie powinna uspokajać. Jest to raczej okoliczność alarmująca.

Rak może też pojawiać się u osób młodych, pomiędzy 20—35 rokiem życia. W tym wypadku następują zwykle zaburzenia w regułach, które stają się dłuższe i obfitsze.

Pomiędzy regułami pojawiają się upławy, o nader przykrym zapachu zepsutego mięsa, z domieszką krwi. Choroba przebiega czas dłuższy *bez bólu* i to jest okolicznością bardzo charakterystyczną. Musimy w tym razie podejrzewać złośliwy nowotwór.

* * *

Oznaki powyższe są jedynie ostrzeżeniem, które powinno skierować chorych do specjalisty. Nie wolno w żadnym razie wysnuwać z tych oznak ostatecznych pesymistycznych wniosków. W rękach fachowców są dziś metody badań, dzięki którym kwestja się rozstrzyga ze 100% pewnością.

Jakkolwiek wiadomości o objawach mogą przestraszać osoby skłonne do hipochondrji, to jednak są one konieczne, gdyż nawet tak ciężka choroba jak rak ma w początkowym okresie, przy obecnym stanie nauki, wszelkie szanse uleczenia.

* * *

Na czele wszelkich leczniczych zabiegów stoi i obecnie, jak dawniej, operacja. Wszelako znany chirurg wiedeński prof. Eiselberg utrzymuje, iż przyjdzie czas, kiedy nóż nie będzie potrzebny do leczenia tej choroby; operację zastąpią inne metody lecznicze. Jednak dotąd nie zjawił się wynalazca, któryby zrobił podobne odkrycie. Poszukiwania wszakże wciąż trwają i niedawno na kongresie Angielskiego Towarzystwa dla badań nad rakiem podana została wiadomość o wynalezieniu serum leczniczego. Przewodniczący tego Towarzystwa książę Jorku zachęcał do dalszych badań. Początkowo próby były dokonywane na zwierzętach, następnie zaś na chorych, uznanych za nieuleczalnych. Podobno, zanotowano znaczną poprawę.

Co do operacyj chirurgicznych, to najczęściej bywają one kombinowane w pewnej kolejności z leczeniem promieniami Röntgena lub radem. I trzeba podnieść, że genialne odkrycie naszej rodaczki Curie-Skłodowskiej, które zastosowuje się w Warszawskim Instytucie Radowym, w wysokiej mierze przyczyniło się do radykalnych uzdrowień nieszczęśliwych chorych. Technika operacji również została udoskonalona.

Do cięć używa się nóż elektryczny, dzięki któremu naczynia krwionośne przypalają się na przekroju, co nie daje możności materji rakowej przeniknąć w krew, które to przenikanie mogłoby spowodować przerzuty raka w innych narządach ustroju.

Ocena wartości wyników leczenia rozmaitemi surowicami i szczepionkami oraz operacjami nad przysadką mózgową, która, jak uprzednio zaznaczyłem, uchodzi przy swych niezaprzeczonych zasługach w gospodarstwie ustroju, również i za budziciela raka — ocena ta należy do przyszłości.

Reasumując powyższe, należy przyznać, że nauka już wiele zrobiła dla ratowania chorych, a każdy nowy dzień, może przynieść ludzkości doniosłe i zbawienne odkrycie.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

OJCZE NASZ

Codzień z ust miljonów — już blisko dwa tysiące lat — płynie szept modlitewny w niebiosa: „Ojcze nasz!" W okresie świąt Wielkiejnocy wzbija się częściej z ziemi w niebo.

Za każdym razem, rzekłbyś, wieje zeń ciepło warg Zbawiciela, drży tętno Jego Serca i rozlewa się na pokolenia ludzkie jakiś słoneczny blask zaświata, jakaś niewysłowiona wzniosłość i cudowna prostota myśli Chrystusowych. Z niewielu słów tej „modlitwy Pańskiej" promienieje na dusze Mądrość nieskończona.

Toteż i wartość, jaką posiada „Ojcze nasz", jest ogromna — dla wszystkich ludów i dla każdej duszy.

Bardzo jasno i uchwytnie, choć trochę naiwnie, wyraża tę prawdę stara legenda bawarska.

Przed wielu wiekami — głosi ona — biskupem Augsburga był św. Ulrych, mąż niezwykle dobroczynny dla ubogich, który z pewnym żebrakiem zawarł osobliwą umowę. Mianowicie żebrak ów zobowiązał się codzień odmawiać trzy „Ojcze nasz" w intencji swego Pasterza, wzamian za co miał codzień otrzymywać potrawy ze stołu biskupiego.

Po zawarciu tej umowy biskup nie mógł poznać sam siebie. Przedziwne błogosławieństwo Boże szło za nim krok w krok, najtrudniejsze sprawy swego wysokiego urzędu załatwiał bez wysiłku, a co najważniejsza niezrównany pokój i wesele ducha towarzyszyło mu stale. Przypisywał to — rzecz zrozumiała — gorliwej modlitwie pokornego biedaka, orędownika swego przed Bogiem, i pilnie baczył, by mu kucharz codzień sumiennie wydzielał umówioną zapłatę.

Tak upłynęło sporo czasu. Aż tu pewnego dnia święty spostrzega, że opuścił go zwykły pokój duszy. Strapione serce osaczyły boleść i zgryzota, ciężkie chmury smutku spowiły i spętały myśl każdą. Ziemia usuwała się mu spod nóg, niebo zdawało się zamknięte... Jedno tylko panoszyło się w nim bezkarnie: ucisk i męka ducha.

Upadając pod brzemieniem, święty biskup zaczął się zastanawiać nad sobą i szukać przyczyny tak rozpaczliwego stanu. Długo nie mógł nic trafnego wynaleźć. Nagle jak błyskawica olśniła go myśl: — A modlitwa żebraka?! — Czy on przypadkiem nie zaprzestał odmawiać, albo może niedbale odmawia umówione trzy „Ojcze nasz"?

Natychmiast kazał go zawezwać do siebie.

Żebrak stanął przed biskupem i, zapytany, przyznał się otwarcie, że przerwał umówione pacierze, ponieważ od pewnego czasu kucharz nie daje mu potraw obiecanych z biskupiego stołu. Zbywa go byle czem, obdziela skąpo, a czasem wogóle odprawia na głodno.

Oburzony do żywego tak samowolnem postępowaniem swego kucharza, św. Ulrych przywołał go i kazał mu się wytłumaczyć, dlaczego to czynił. Kucharz odparł zuchwale, że nie może zrozumieć, dlaczego ks. biskup o taką błahostkę go strofuje. Trudno rujnować spiżarnię biskupią, karmiąc dziadów wyszukanem jedzeniem. Biedny ma jeść to, co mu dadzą, a nie wydziwiać i stroić grymasy, żądając królewskiego jadła za parę mizernych „Ojczenaszów"...

Na te słowa uniósł się świętym gniewem książę Kościoła.

— Jakto?! — zawołał — to dla ciebie „Ojcze nasz" jest mizerną błahostką?! Za takie słowa musisz ponieść karę. Pójdziesz pieszo do Rzymu i zapytasz się Ojca św., jaką wartość i wagę ma jedno „Ojcze nasz".

Na kategoryczny rozkaz swego pana kucharz wyruszył w drogę do Wiecznego Miasta i stanął przed obliczem Ojca chrześcijaństwa. Pokornie przedłożył pytanie swego biskupa.

— Jedno „Ojcze nasz" — usłyszał odpowiedź — tyle znaczy co pieniadz ulany ze złota.

Z tą odpowiedzią powrócił kucharz do swego pana. Ale św. Ulrych nie był z niej zadowolony.

— Nie dopytałeś się — odrzekł słudze — jaką ma szerokość ten pieniądz. Wracaj do Rzymu, zapytaj się dokładniej.

Rad nierad musiał nasz bohater udać się znowu w drogę. Po wielu trudach i mozołach przybył wreszcie do celu, by klęknąć u stóp następcy św. Piotra i zapytać, jak szeroki ten złoty pieniądz, co równoważy wartość „Ojczenasza".

— Złoty ten pieniądz — usłyszał odpowiedź — jest tak szeroki, jak ziemia cała.

Ucieszony tą odpowiedzią, sadząc, że bedzie ostatnią, pośpiesznie wrócił do Augsburga i przedłożył ją swemu biskupowi.

— Zapomniałeś — rzekł do sługi — zapytać się o grubość złotego pieniadza.

I musiał biedny pokutnik po raz trzeci wędrować do Rzymu, by tam ostatecznie usłyszeć z ust papieża słowa:

— Złoty ten pieniądz jest tak gruby, jak niebo spiętrzone nad ziemią.

Wtedy dopiero poznał kucharz św. Ulrycha, jak wielką wartość posiada jedno „Ojcze nasz" i, powróciwszy do domu, nigdy już nie gardził modlitwą żebraka.

Oto legenda... Starodawna, a jednak wiecznie na czasie. Nie brak i dziś kucharzy, zatroskanych o pełną spiżarnię świata, dbałych o wykwintne jadło dla siebie, a gardzących mizerną błahostką — modlitwą żebraka... Na wielu ustach „Ojcze nasz" dziś istotnie zamiera. A wraz z niem umiera pokój duszy, gaśnie światło Mądrości nieskończonej w umysłach. Pośród mroku dziejów pełgają liche iskierki lichych rozumowań ludzkich, niezdolne rozświetlić wielkich dróg duchowych, wielkich przeznaczeń narodów... Zewsząd ciemność się wciska, błąd i zamieszanie...

Należałoby ze św. Ulrychem nakazać dzisiejszym kuchtom świata trzykrotną pielgrzymkę do Rzymu, by nauczyli się cenić i odmawiać „Ojcze nasz".

Jan Czar.



Narciarka w nieprzyjemnej pozycji

IZABELLA HENTZLÓWNA

KRYZYS SZAREGO CZŁOWIEKA PRACY

Niema chyba w polsce dziennika, czy czasopisma, któreby nie umieściło w swym numerze kilku lub kilkunastu artykułów na wdzięczny, paląco aktualny temat kryzysu i bezrobocia.

Są to przeważnie bezssensowne, patetyczne alarmy, lub mozolne elaboraty, naszpikowane gęsto statystyką, niestety, bardzo często wątpliwej autentyczności.

Olbrzymie te cyfry zawierają w sobie bezmiar tragedji ludzkiej; — nędza, głód, choroba, demoralizacja, zbrodnia — oto wspólny mianownik bezrobocia.

Ekonomiści i wybitni twórcy doktryn polityczno-gospodarczych zgłębiają przyczyny tej groźnej sytuacji, ale jakoś dotychczas nie dali żadnego, pozornie chociaż skutecznego, remedium.

Bezrobocie — ten wytwór kryzysu, piszą, „trwa i szaleje".

Zahypnotyzowana prasa codzienna wtłacza systematycznie do naszego umysłu odłamki doktrynerskich zdobyczy wiedzy ekonomicznej, bezrobotni piszą o sobie pamiętniki, „mrożące krew w żyłach", a życie — życie trochę inaczej niż w literaturze, płynie swem wyżłobionem korytem.

Pomijam narazie sprawę bezrobocia wśród inteligencji i przechodzę do warstw niższych, ponieważ te przez pewien czas były głównym przedmiotem badań i obserwacyj.

Na pierwszy plan wysuwa się służba domowa. Zawsze i wszędzie, nawet przy bridge'u, dopuszczalny i aktualny temat rozmów.

Widocznie jest to wrzód bardzo bolący.

Zwiedziłam już chyba wszystkie biura stręczenia służby domowej w Warszawie. Przesunęły się przede mną rzesze tych, które szukają pracy, a w istocie pracować nie chcą.

Na ulicy, przed mrocznemi bramami domów, w których mieszczą się kantory pośrednictwa pracy, w zwartej gromadzie stoją kandydatki na pomocnice domowe (broń Boże służące), dość głośno wymieniając między sobą soczyste, warszawskie epitety.

Gdy zbliża się jakiś przechodzień wrzawa milknie. Wyzywające, zaczepne spojrzenia w jednej chwili oceniają, czy jest to właśnie ktoś, kto poszukuje służącej.

W tej chwili daje się słyszeć pojedyńczy jakiś nieśmiały głos:

Jeszcze raz stwierdzam, że zarówno w mieście jak i na prowincji niema chętnych do pracy, niema bezrobotnych.

Długo dyskutujemy na temat różnych kłopotów domowych, wreszcie jeszcze raz podejmuję się rozpocząć poszukiwania służącej dla kuzynki.

Myślę, że teraz będzie łatwiej, ponieważ może ona płacić 45—50 zł. miesięcznie i zapewnić oddzielny pokoik. Ponadto, biorąc pod uwagę świetne warunki klimatyczne, wydaje mi się, że znalezienie odpowiedniej służącej nie będzie przedstawiało żadnych trudności.

Tymczasem spotyka mnie srogi zawód jeszcze tego samego wieczora.

Po przyjeździe na Dworzec Główny, natchniona genjalnym pomysłem (tak sądziłam) pochwycenia jakiejś przyjezdnej dziewczyny, udaję się do pani z żółtą opaską na rękawie z „Misji Dworcowej". — Wyjawiam swoje życzenie.

— O! to niemożliwe, proszę pani, słyszę odpowiedź, dziewczyna, która przyjeżdża ze wsi nigdy nie zechce pracować na prowincji, choćby to był nawet uroczy Milanówek.

Odeszłam zrezygnowana.

Rankiem, następnego dnia rozpoczęłam poszukiwania po kantorach. „Przestudjowałam" około dwudziestu wyborowych kandydatek.

Niestety, żadnej z nich nie odpowiadała „prowiencja", ponieważ wodę trzeba nosić ze studni, a one tego „niezwyczajne".

Podczas bytności w jednym z kantorów, usłyszałam fragment rozmowy innej pani ze służącą:

— Więc wiele osób? — pyta kandydatka na pomocnicę domową.

— Trzy.

— To znaczy pan, pani i dziecko.

— Nie. Ja i dwoje dzieci.

— A pana niema?

— Nie. Nie żyje już.

— Znakiem tego ja nie mogie iść na takie służbe!

Oto nowa wiązanka tych, które pragną zdobyć pracę.

* * *

Innym razem, zaproszona przez ciotkę na kilkudniowy wypoczynek do Z., miałam możność poznania innych nędzarzy i bezrobotnych.

Ciotka, jak i wiele innych pań z tej osady w ciągu ostatnich lat nie może zdobyć służącej. A jeżeli nawet przypadkiem pochwyci jakąś, to zgóry można wiedzieć, że albo leniuch, albo złodziejka pośrednia lub bezpośrednia.

Pośrednia zwykle zaczyna swe dzieło od zawarcia znajomości z przygodnym bezrobotnym. W krótkim czasie następują niby zaręczyny i odtąd jakieś podejrzane indywiduum w roli oficjalnego narzeczonego odwiedza swą wybrankę w kuchni chlebodawców. Czas miłosnych westchnień między jednym kotletem i drugim poświęca na penetrowaniu zamków i poznawanie zwyczajów, panujacych w domu. Więcej szczegółów na spacerze, przy księżycu, dopowie mu narzeczona i nakoniec po kilku dniach czy tygodniach kradzież, dokonana przez zakochaną parę, rozwiązuje stosunek służbowy pracodawczyni ze służącą.

Ale to nie wypełnia jeszcze treści całego dramatu pani domu na prowincji.

Innym powodem zmartwień są tak miłe dla oka i pożyteczne ogródki przy domach, które wymagają stałej pielęgnacji w postaci pielenia, przekopywania i t. p. drobnych czynności, dość trudnych i uciążliwych dla osób nie przyzwyczajonych do tego rodzaju pracy.

Niełatwym wyczynem jest pozyskanie na wiosnę bezrobotnego do skopania ogródka, a w lecie kobiety lub dziewczyny do pielenia.

Pewnego dnia, gdy ciotka w pocie czoła oczyszczała z chwastów swój ogród, powzięłam decyzję zaangażowania do pracy tej kogoś spośród włóczęgów, których liczba na prowincji wzrasta zatrważająco.

Był właśnie piątek — dzień żebraków.

Usadowiłam się na werandzie i czekam. Skrzypnęła furtka.

Niewidzialna od zewnątrz, poprzez szpary między pędami dzikiego wina, mogę swobodnie obserwować wszystko, co dzieje się na ścieżce, wiodącej od furtki.

I oto, raźno, posuwiście idzie jakaś kobieta około pięćdziesięciu lat.

— Mam — myślę sobie — dość młoda i energiczna.

Ale w tejże samej chwili, skoro tylko stanęła przed werandą, stało się z nią coś dziwnego:

Zgarbiła się, zmalała. Jakieś nagłe, a ciężkie cierpienie wykrzywiło boleśnie jej rysy, oczy zaszły łzami, a drgające febrycznie usta błagały o miłosierdzie.

— Urodzona artystka — myślę sobie. — Gdybym była chociaż reżyserem T. K. K. T. natychmiast zaangażowałabym ją do zespołu teatralnego, ale, ponieważ w danej chwili poszukiwałam kogoś do pielenia, więc zaproponowałam tę właśnie pracę, oczywiście za zapłatą.

Na te słowa kobiecina jeszcze bardziej zmalała.

— O paniusieńko złota — woła — ja do roboty, kiej ta ryba do wody, ale tera ja stara, już nie mogę pracować, nerwowa jezdem!

Doskonale się składa — odpowiadam — przy takiej pracy w ogrodzie uspokoicie swoje nerwy.

— Nie moge, paniusiu! Ja sobie licyła 75 roków, a tymcasem w niedziele organista powiedzioł mi: Babko Jagato, już na starość tracita pamianć, bo w kanceniarni w ksiązkach duzo wiency stojało — peda. Tak, paniusiu — tako staro juz jezdem!

Nie dałam żebraczce ani grosza. Poszła.

* * *

Nie upłynęło nawet 15 minut, gdy znów przychodzi inna, tym razem kobieta około 30 lat z dwojgiem dzieci.

Po wysłuchaniu historji jej rzekomego wdowieństwa, wydalenia z pracy i nędzy sierot, proponuję jej pracę.

Trochę podejrzliwie, wahająco — zgadza się.

Warunki natychmiast omawia ciotka (nawiasem mówiąc, dosyć zdziwiona).

A więc zł. 1 gr. 50 dniówka, oraz życie dla niej i dzieci.

Litując się nad dziećmi, całej trójce ciotka daje śniadanie, poczem matka zabiera się do pracy.

Mija godzina dziesiąta, jedenasta, dwunasta. Nagle bezrobotna przerywa pracę, żądając zapłaty.

Jestem zaskoczona tem.

— Dobrze, mówię, dostaniecie przy końcu dnia.

— Kiedy ja nie chce już robić.

— Dlaczego?

— Bo to mi się całkiem nie opłaca.

— Więc wolicie żebrać?

— Musowo, bo bez dzień cały bez harowania więcej zbiere jak 1 zł. 50 gr.

Opanowuje mnie tłumiony szał. Ciotka triumfuje, ponieważ w międzyczasie przepowiedziała mi taki finał.

Nic nie mówiąc, płaci babie żądaną złotówkę (tyle bowiem sama naznaczyła sobie za pół dnia pracy, t. j. 3 godziny).

— Może służącej potrzeba — prosze pani.

— Cicho bądź, głupia — odpowiada drugi głos — taka pani, takiej z ulicy nie weźmie.

Właśnie tę przywołuję i, przeciskając się przez gromadę, wchodzę z dziewczyną do kantoru, mieszczącego się w pobliżu bramy.

Urzędujący tu „pan" łaskawie pozwala mi rozpocząć z dziewczyną pertraktacje.

Przez chwilę przyglądam się jej: wynędzniała, blada twarz, ubranie zniszczone, pantofle podarte. Zdawałoby się na pierwszy rzut oka, że wystarczy okazać trochę serca, odziać porządniej i nakarmić, aby pozyskać istotną pomoc przy pracy domowej i... człowieka. Pytam, czy służyła i proszę o świadectwa.

— Tak, służyłam i to u bardzo porzonnych i wysokich państwa. Jedna pani to było doktorowa, a on, doktór, z jenszą wyjechał zagranice... a pod nią na pierwszem piętrze to mieszkała ta niby urzenniczka, co to co i raz z jenszym urzendowała... a ten brenet z przeciwka...

Przerywam jej potok wymowy powtórnem pytaniem o świadectwa i znów słyszę jakąś niesamowitą historję kradzieży, w której „gdzieściś zadziały się dokumenta".

Nakoniec zostało najdrażliwsze pytanie o wysokość żądanej pensji. Chwila milczenia, poczem skolei ona zadaje mi pytania:

— A wiele mieszkania?

— Dwa pokoje z kuchnią.

— A wygody som?

— Są.

— A wiele państwa?

— Dwoje i dziecko.

— A wiele lat dziecko?

— Pięć.

— A w domu siedzi?

— Tak.

— No to czas, by go już posłać do tej... przedszkoły. U pani doktorowej dziewczynka ma cztery i pół, a już chodzi. Zawsze to lepiej jak przez pare godzin bachor nie szwenda sie po mieszkaniu.

Ze spokojem wysłuchałam tych uwag i ponownie zapytuje jakiej żąda pensji?

— Jak dla pani to 35 zł. na miesiąc, bez prania.

— Ależ to bardzo drogo. U mnie niewiele pracy.

— O, prosze pani, ja jestem bardzo uczciwa, to dlatego poprzednie państwo płacili mi 45.

Nieśmiało proponuję sumę 25 zł. i całe utrzymanie.

— Zwarjowała pani — woła z oburzeniem — niech se pani poszuka głupszej ode mnie. Za marne 25 zł. nie opłaci mi sie tyrać. Patrzcie no ją... wielka pani!... Pomocnice chce za 25 zł! A sama zmyć manikiury i daligo do roboty!

Stanęłam ogłupiała, rozglądając się dokoła. Ale na szczęście panował tu ogromny gwar i wrzawa i nikt prawdopodobnie nie słyszał mojej rozmowy, ponieważ i inne panie z wypiekami na twarzach przyjmowały nie mniej ostre wymówki.

Ale mimo to, z miłem uczuciem opuściłam ten przybytek rzekomej nędzy.

Stwierdziłam bowiem, że bezrobocia niema skoro taka pomocnica lekceważy sobie pracę i nie pójdzie „tyrać" za 25 zł.

W tej chwili twierdze z cała pewnością, że niejedna kobieta pracująca z inteligencji, zarabiając sto kilkadziesiat złotych, po zapłaceniu nedznego mieszkania i utrzymania, nie posiada 25 zł. miesiecznie na osobiste potrzeby. Nawet tyle nie zapewnia jej średnie lub wyższe wykształcenie.

Ha, trudno! Nie zniechęcona mniej lub więcej podobnemi rezultatami w poszukiwaniach służącej, idę nakoniec do znanego Zakładu, opiekującego się sierotami i bezdomnemi dziewczętami. Tutaj warunki zdobycia służącej są nieco inne.

Wywiad ze mną prowadzi dość uprzejmie starsza pani, opiekunka.

I znów od początku zdradzam tajemnice domowe. Nakoniec, z bijącem sercem wymieniam sumę wynagrodzenia 25 zł.

Ku wielkiemu mojemu zdumieniu pani opiekunka bez słowa protestu akceptuje i wydaje polecenie przyprowadzenia Kasi Kartoflanki.

Po chwili staje przede mną rosła, potężna jak dragon, wiejska dziewczyna.

Wiadomość o otrzymaniu pracy przyjmuje z zupełną obojętnością. Pani opiekunka, jakby nagle coś ważnego sobie przypominając, zwraca się do mnie.

— Przepraszam, zapomniałam zapytać, czy szanowna pani posiada oddzielny pokój dla służącej?

— Nie. Mam tylko dwa pokoje z dużą kuchnią.

— To niedobrze. Służąca też człowiek, o tem nie należy zapominać.

Tu następuje długi wykład o humanitaryzmie, o niszczących zdrowie zapachach w kuchni i t. d. i t. d.

Nakoniec pani opiekunka wyraża mi swoje ubolewanie spowodu odmowy.

— Ale to trudno, mówi, świadomość, że to młode dziewczątko, może pozostawać w złych warunkach higjenicznych, nie dałyby mi spokoju do końca życia.

Kasia Kartoflanka, niemy świadek tej rozmowy, z szeroko rozdziawionemi ustami, solidaryzuje się ze swą opiekunką.

A ja? Nie mogąc zdecydować się na odstąpienie jednego pokoju pannie służącej, opuściłam ten przybytek „żądnych pracy" ze smutnem przeświadczeniem, że już teraz nie mam gdzie szukać sobie pomocnicy domowej.

Odtąd, codziennie po powrocie z pracy musiałam sama zajmować się gospodarstwem.

Z konieczności powiększałam bezrobocie, zajmując jednocześnie dwie placówki pracy: jedną swoją zawodową i drugą służącej.

* * *

Mijały długie miesiące zimy. Nadeszła wiosna i lato — okres dłuższych lub krótszych pobytów u krewnych, czy znajomych w osiedlach podwarszawskich i letniskach.

Pewnego dnia pojechałam do kuzynki, mieszkającej stale w Milanówku.

Wchodzę. Drzwi otwarte. Mijam jeden pokój, drugi, trzeci — niema żywego ducha. Wprawdzie w tym czasie dzieci są w szkole, a pan domu w biurze, ale powinna być jednak obecna pani domu, lub służąca.

W tej samej chwili dobiega mnie z kuchni jakiś miarowy łoskot. Staję na progu i widzę dość oryginalne zjawisko. Po środku kuchni, w kałuży mydlin stoi balja, a przy niej na stołeczku stoi moja kuzynka, mała filigranowa kobietka.

Pierze biedactwo z wielkim wysiłkiem, trąc bieliznę na tarce, sięgającej jej prawie do szyi.

Stoję zdumiona.

— Czy nie możesz wziąć praczki? — pytam.

— Optymistko! Myślisz, że tu można znaleźć jakąś służącą lub praczkę? Wszystkie znajome panie męczą się w podobny sposób, ponieważ 95% miejscowych służących to złodziejki, a pozostałe, to patentowane próżniaki. (Dok. na ost. stronie okładki).





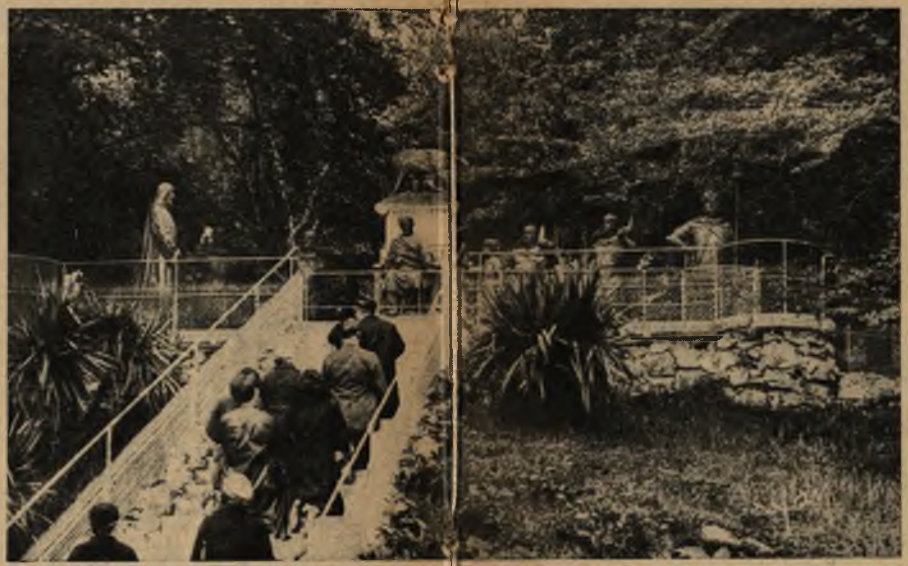


ALEKSANDER JUNOSZA-OLSZAKOWSKI

DROGA KRZYŻOWA W LOURDES

Oto spełniła się ich wiara:
Przez krew!
Przez mękę!
Przez śmierć i Zmartwychwstanie!

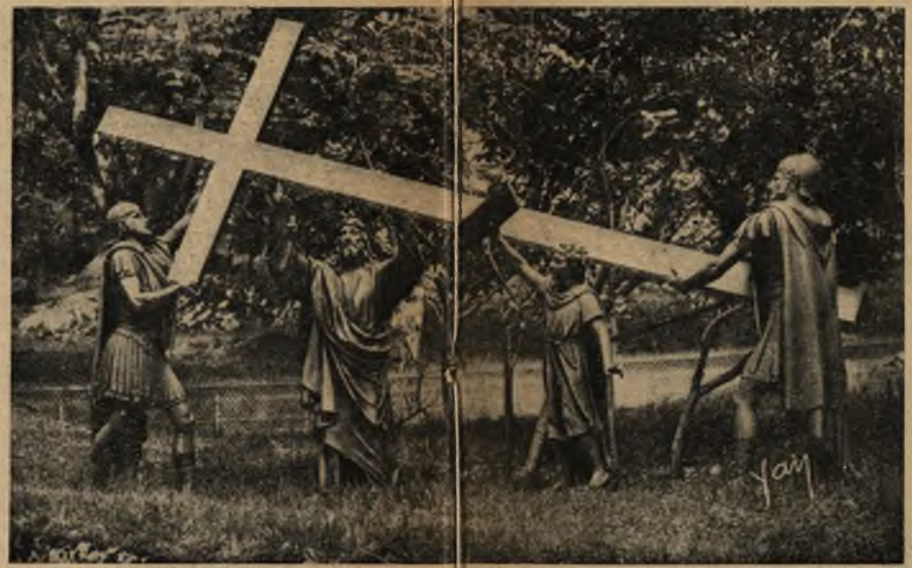
Trzeba mieć kamień w piersiach i duszę z żelaza, aby bez wzruszenia patrzeć na stacje Męki Pańskiej w Lourdes. Figury z bronzu naturalnej wielkości tchną życiem i pełnią wyrazu. Droga wije się serpentyną pod górę. Gęsta roślinność zasłania miasto. Zwiedzający przeto czują się jakby oderwani od świata. Drzewa szumią. Nad głowami błękit nieba. Co parę kroków zaś straszliwe sceny sądu obłąkanego motłochu nad Bogiem.



Sąd ten i Golgota odbywa się i dzisiaj. Trwa dzień i noc od dwóch tysięcy lat. Nic mocniej bowiem nie było i nie jest zwalczane na świecie jak miłość! I nic namiętniej nie było i nie jest czczone jak podłość! I nic więcej nie było i nie jest wielbione jak głupota!

Oto przyszedł Bóg-Człowiek i rzekł przemożne słowo: kocham!

Za to uwięziono Go, oplwano i obito, wreszcie ukrzyżowano.



Oślepiła bowiem ludzi miłość tak potężna, tak wielka i wspaniała, że cały świat wydał się wobec niej kruszyną drobną i bez znaczenia. Ulękli się jej ogromu. Przerażenie ogarnęło nędzne, małe dusze.

A dzisiaj?

Pomimo cudownego testamentu, jaki nam Chrystus zostawił, rozlewa się krew ludzką na polach bitew, wydziera się kobietom mężów i synów li tylko z tej racji, że hegemonja lądowa lub morska pozostanie przy jednem z mocarstw, albo dywidenda jakiegoś koncernu wzrośnie w dwójnasób. Zapomina się o tem, że wszystkie miljardy świata nie warte są jednego życia ludzkiego, chociażby kryło się ono w łachmanach i cierpiało ostatnią nędzę.

Jakże pięknem natomiast byłoby życie narodów, gdyby każdy z nich stosował przedziwnie mądrą naukę Chrystusa. Jak pięknem byłoby oblicze świata, gdyby miłość i prawda stały się chlebem powszednim niezliczonych rzesz. Jak cudownym byłby każdy dzień, opromieniony dobrocią i szlachetnością. Spełniłaby się wówczas odwieczna tęsknota człowieka zamknięta w słowach modlitwy:

Przyjdź królestwo Twoje!

— — — — — — — — — — — —

Stacja I-sza przedstawia Chrystusa skazanego na śmierć. Odbywa się sąd przed Piłatem. Chrystus wyniosły i spokojny spogląda w oczy filozofującego mędrka i karjerowicza, który błyskiem sofizmatów chciał ukryć wewnętrzny rozdźwięk swej tchórzowskiej duszy.

I umył rece. Znalazł wyjście prawne z fatalnej sytuacji. Odchodząc zaś, rzucił Chrystusowi pytanie:

— Co to jest prawda?

Do stacji tej prowadzą schody, po których wolno wchodzić tylko na kolanach. Po obu stronach sądu tkwią muskularne i opancerzone postacie legjonistów rzymskich.

Następne stacje wyobrażają wędrówkę Chrystusa z godłem Jego Męki. Oto Chrystus upadł na ziemię przytłoczony brzemieniem krzyża. Pocałunek Judasza, ucieczka przyjaciół, pogróżki sędziów, naigrawanie się warty rzymskiej, podłość Piłata, ryk śmiercionośny tłumu, wreszcie ten pochód w pośród uśmiechów i wzgardy tych, których miłuje, wywarły mocne piętno na twarzy Chrystusa. Jest znękany policzkami i biczowaniem. Zniekształcony od krwi i postu. Dyszy ciężko.

Podbiegają żydzi. Płoną wściekłością przeciw Temu, który im przebacza. Miotają się i krzyczą. Jednak wśród spodlonego tłumu wyłania się człowiek, który nie znał Chrystusa i Jego nauki, lecz w którego piersiach biło ludzkie serce. I oto Szymon Cyrenejczyk pomaga nieść krzyż Chrystusowi.

Niezmiernie głębokie wzruszenie ogarnia każdego na widok VIII stacji. Chrystus znajduje się w obliczu śmierci. Bezmała dogorywa. Znajduje się u kresu sił. I w takiej chwili, kiedy On najbardziej potrzebował pomocy, najwięcej wzbudzał litość swojem nieszczęściem, w takiej właśnie chwili nieszczęśliwa matka konającego dziecka rzuciła się na kolana, błagając o uzdrowienie.







KLARA SOŁONOWICZ

O RACJONALNY REPERTUAR DLA DZIECI

Rozmowa z p. Ewą Kuniną, kierowniczką Teatru dla dzieci w „Reducie"

„Reduta", wyznaczając ogromny zasięg teatrowi i jego roli kulturalno-wychowawczej, nie zapomina o dzieciach. Kształcenie młodego pokolenia, pragnienie wydedukowania metody tego kształcenia przy odrzuceniu wszelkich wzorów obcych — to zamierzenia Osterwy, kierownika „Reduty", ciągle czynnego, ciągle przebywającego w świecie gorących projektów i ich realizacji.

— Młode pokolenie — mówi p. Ewa Kunina, kierowniczka Teatru dla dzieci w „Reducie" — nie znajduje odpowiednich dla siebie sztuk. Nie trzeba zapominać, że teatr nie może być tylko rozrywką; musi dawać przeżycia większego znaczenia. Bawiąc, powinien kształcić. Dzieci szkół powszechnych, według zamierzeń Osterwy, trzeba uczyć w teatrze geografji Polski, oczywiście w formie „Pieśni o ziemi naszej"; młodzieży szkół średnich dać historję polską i dramatyczną literaturę polską; młodzieży akademickiej powszechną literaturę dramatyczną.

Repertuar dla dzieci trzeba dopiero stwarzać, formować. Dotychczasowy repertuar powinien ulec radykalnej zmianie. Szukamy istotnego wyrazu w teatrze dla dzieci. Chodzi o odpowiedni dobór sztuk i o odpowiednie ich ujęcie. Chcielibyśmy, by przedstawienie było w życiu dziecka pewnem wydarzeniem, które przygotuje je do życia w pszyszłości, które rozwinie i pogłębi jego wiadomości i zainteresowania dla zagadnień, jakich dostarcza mu szkoła, dom, zabawa. Chcielibyśmy dać dziecku teatr, związany z jego życiem, dać prawdę, wyjętą z codzienności, z obrzędów, z tradycji, pokazać tę prawdę w formie prostej i czystej. Tematy, (z geografji, historji np.), które dziecko zna z książki, z czytanki, w plastycznem ujęciu uzyskują nową siłę atrakcyjną, która we wrażliwości dziecka obudzi niewątpliwie żywsze zainteresowanie.

— Więc koniec bajki?

— Niezupełnie. Zrywamy z szablonem w bajce. Uciekamy od czerwonych kapturków, śnieżek i krasnoludków. Uciekamy od bajki, która dowodzi, że nie siłą, prawdą, wysiłkiem indywidualnym zdobywamy dobra ziemskie. Bajka np., w której głupi, dzięki sprytowi i przypadkowi osiąga skarby, miłość królewny, jest w założeniu samem niemoralna. Wartość istotna musi zwyciężać. Inaczej sztuki ze względów pedagogicznych nie będą miały znaczenia.

Jeśli chodzi o okolicznościowe przedstawienia dla dzieci (choćby z okazji świąt) w sztukach tego rodzaju króluje zawsze szablon... wspólne śpiewy, aniołek przynosi choinkę itp. A chodzi przecież o rzeczy ważniejsze. Niech dziecko ubiera choinkę razem z matką i ojcem. Niech dowie się, co to są kolędy, co oznacza łamanie się opłatkiem. Niech przypatrzy się swemi dziecinnemi, wrażliwemi oczami czystości i świętości obrzędów.

Odrzucić przytem należy wszelkie przesadne dekoracje. Pozostawić trzeba wiele wyobraźni dziecka. Tło neutralne zawsze większe będzie miało znaczenie, niż narzucone. Efekty teatralne są niepedagogiczne. Uwaga dziecka, zatrzymawszy się nad środkiem technicznym, prześlizgnie się zaledwie o zasadnicze momenty sztuki. Iluzja teatralna powinna iść po linji możliwie najprostszej.

— Jak się przedstawia teatr dla dzieci na tle teatru tego typu zagranicą?

— W Rosji sowieckiej teatr dla dzieci jest przedewszystkiem środkiem wychowawczym. Teatr ten jest umiejętnie zorganizowany, upaństwowiony, ma mocny wyraz artystyczny. Sztuki jednak, dawane w sowieckim teatrze dla dzieci, noszą indywidualny charakter i nie są odpowiednie do ram teatru dla dzieci poza Sowietami. Tam chodzi o skoncentrowanie człowieka według metod, właściwych założeniom państwa sowieckiego. Nam, w urabianiu dziecka — przyszłego człowieka, chodziłoby przedewszystkiem o upowszechnianie, o kszałcenie w dziecku wartości bezwzględnych, jak dobroć, miłosierdzie, prawda, miłość dla ojczyzny i tradycji.

— Czy zamierzenia „Reduty" spotykają się ze zrozumieniem wśród społeczeństwa? Jak postępuje rozwój teatru dla dzieci o wyżej omawianych założeniach?

— To jeszcze trudno powiedzieć. Jesteśmy w stadjum organizacji, szukamy właściwej drogi. Przyszłość pokaże. Racjonalny teatr dla dzieci musi iść do celu drogą ewolucji.

I Chrystus uczynił zadość prośbie.

A oto scena przybijania do krzyża. Ostjarjusz rzymski z rozmachem wali młotem w potężne gwoździe. Obficie broczy krew. Pękają miażdżone kości. Ból straszliwy. Chrystus ma oczy przymknięte. Milczy.

I to milczenie jest najstraszniejszym wyrazem cierpienia.

A oto stoją trzy krzyże. Chrystus zawieszony na znacznej wysokości spogląda na tłum szalejący w dole. Złorzeczą mu i wyklinają. Za to, że kochał i cierpiał. I tak trwa, do dzisiaj w niejednem sercu ludzkiem.



ALEKSANDER JUNOSZA-OLSZAKOWSKI

DWAJ BRACIA

— Boże! Boże! — jęknął — jak ja mu to wszystko powiem? Jak on to przyjmie? Zresztą... i on nie da temu rady!

Umilkł i rozejrzał się po pokoju. Pokiwał głową z goryczą.

— Jak on biednie mieszka — szepnął do siebie — jak nędzarz. Ostatnie grosze przesyłał mi na hulanki. Zapewnie głodził się niejednokrotnie. A ja...

Wtulił twarz w poduszkę i pozostał tak długi czas nieruchomo. Wreszcie podniósł się, wciągnął spodnie i podszedł do okna.

Przez wąską uliczkę chłop gnał świnię, trzymając ją na powrozie. Świnia kwiczała przeraźliwie, opierając się z całej mocy. Chłopina klął głośno, a gromadka zamorusanych dzieciaków śmiała się z uciechy.

Lucjan westchnął głęboko i skrzywił pogardliwie usta.

— Otóż to właśnie — mruknął — swojski widoczek, na który brat mój musi nieomal codzień spoglądać. Surogaty życia. Miazmaty szczęścia prostolinijnych ludzi. Podwórko westchnień do kawałka razowego chleba i połcia słoniny. O Boże! Jakże to wszystko nędzne jest i beznadziejne! A tam na zachodzie ludzie mają własne auta i jachty, zwiedzają świat, żyją życiem prawdziwego szczęścia. I cóż mi z tego przyjdzie, że gdybym się postarał, zostałbym adwokatem? W Warszawie się nie utrzymam. Konkurencja zbyt mocna. Natłok ludzi. Czeka mnie zatem podobna idylla w małem miasteczku. Będę udzielał porad prawnych chłopom i żydom, stawał w sądzie w sprawie wyciętego krzaka lub zaoranej miedzy, wieczorami grywał w karty z aptekarzem i weterynarzem i raz na tydzień czytał gazety. Bo i poco? Brr! Obrzydliwość!

Rozdział IV.

Wiadomość o przyjeździe Lucjana doszła do księdza proboszcza. Czcigodny kapłan, pragnąc poznać młodzieńca, o którym słyszał wiele dobrego z ust Reszki, zaprosił ich na obiad.

Przy stole w czasie miłej i ożywionej pogawędki Lucjan zyskał sobie sympatję starego księdza, opowiadając szczegóły o cudzie wielkopiątkowym, jaki zdarzył się właśnie zeszłego roku we Włoszech, i o którym w Warszawie ludzie uczeni wygłosili specjalne odczyty. Starożytna, wielu wieków sięgająca tradycja twierdzi, że gdy święto Zwiastowania zbiegnie się z Wielkim Piątkiem, następują cudowne przemiany z przechowywaną w katedrze miasta Adria we Włoszech środkowych relikwją Ciernia z korony Chrystusa Pana. Odżywają mianowicie i czerwienieją na nowo ślady Krwi Przenajświętszej. Ponieważ w roku bieżącym nastąpił taki rzadki wypadek zbiegu obu uroczystości do Adria przybyły liczne pielgrzymki z Włoch i zagranicy w oczekiwaniu powtórzenia się cudu, a biskup miejscowy zarządził specjalne modły. Rzeczywiście, jak spodziewano się, w Wielki Piątek o godzinie 4 m. 20 popołudniu, w obecności licznych rzesz ludu, od trzech godzin trwającego na modlitwie, cud powtórzył się. Rozbrzmiały śpiewy i hymny dziękczynne, a następnie adoracja relikwji przez biskupa Adrii, kapitułę, przedstawicieli władz cywilnych i wojskowych. Po ceremonji w katedrze biskup Adrii okazał relikwję z balkonu pałacu biskupiego wielotysiącznemu tłumowi wiernych, zgromadzonych na placu przed pałacem i ulicach przyległych.

Ksiądz Górski rozłożył ręce i spojrzał zachwyconym wzrokiem przed siebie.

— Mój Boże! — zawołał — taki byłbym szczęśliwy mogąc choć raz w życiu zwiedzić bodaj jedno z cudownych miejsc na ziemi! Wybierałem się zeszłego roku do Adrii, ale sprawy kościelne zatrzymały mnie tutaj. W tym roku zapisałem się do pielgrzymki, udającej się na jesieni do grobu świętej Teresy od Dzieciątka Jezus. Zawczasu ogarnia mnie radość, że będę się mógł pomodlić u grobu tej Wielkiej Świętej!

— I jabym chętnie pojechała — rzekła matka księdza proboszcza — ale starość nie pozwala. Za daleko!

— Tak — zgodził się Lucjan — daleka to i uciążliwa podróż.

Dawniej, kiedy byłam panną, rodzice moi, podróżując po świecie, wstąpili do Lourd — wspomniała staruszka, przymykając lekko oczy, przyczem twarz jej zajaśniała anielskim wprost uśmiechem — widok świętej Groty uczynił na nich wstrząsające wrażenie. Zwłasza tysiące szczudeł, wiszących przy ołtarzu, napełniał serca patrzących słodkim niepokojem i radością, że oto stoją w obliczu cudów. Tłumy kalek, przychodzących modlić się w tej Grocie, odchodziły stamtąd uzdrowione, pozostawiając swoje szczudła i głosząc chwałę Imienia Bożego na całym świecie.

Antoni był wyraźnie wzruszony słowami siwiuteńkiej jak gołąb staruszki. Zaklęta w słowach prostego opisu wizja tragicznych cierpień ludzkich, które znikały bez śladu skutkiem okazanej człowiekowi okruchu łaski Bożej, olśniła go i prowadziła w stan upojenia. Gdyby był sam u siebie, klęknąłby w zachwycie i uderzył czołem o ziemię, patrząc w niebo tak pełne strasznej potęgi, która ogromem swym przytłaczała każdą myśl ludzką. Kiedy był dzieckiem, rodzice wychowywali go w bojaźni Bożej i miłości bliźniego. Później nastąpiło tragiczne nieporozumienie. Dano mu do ręki karabin i kazano strzelać do ludzi. Modlił się wtedy gorąco, szukając rozpaczliwie odpowiedzi na dręczące zagadnienie. Dlaczego miał zabijać, kiedy świat cały powstał z miłości i na miłości był oparty? Przed każdą nieomal bitwą spowiadał się gorąco. Pewnego razu jeden z kapelanów wojskowych, ponieważ zazwyczaj spowiedź była niedokładna spowodu braku czasu na odbycie rekolekcyj, prosił Antoniego, aby, przypomniawszy sobie grzech, nieujawniony na spowiedzi, odmówił natychmiast Zdrowaśkę. Reszka wziął to głęboko do serca i w czasie ataku nagle stwierdził, że kapelan był niezmiernie przewidującym człowiekiem. Na chwilę Reszka zawahał się. Co robić? Będąc religijnym człowiekiem spełnić żądanie kapłana, czy też machnąć ręką i biec razem z innymi w ogień bitwy? Uczciwość i bojaźń Boża odniosły jednak zwycięstwo. Nie bacząc na zdziwione spojrzenia kolegów, ukląkł, aby odmówić Zdrowaśkę. W tej chwili pocisk armatni przeleciał ponad nim, rozszarpując na strzępy czterech żołnierzy, biegnących za Reszką. Jego samego pęd powietrza odrzucił w bok i ogłuszył. W ten sposób modlitwa uratowała mu życie.

Ponieważ obiad był skończony, goście wstali od stołu, dziękując gospodarzom za posiłek, poczem wszyscy udali się do gabinetu.

— Cóż pan obecnie zamierza robić? — zagadnął ksiądz Lucjana.

— Przeczekać burzę warszawską u brata i wrócić do studjów — brzmiała odpowiedź.

— W takim razie sądzę, że będzie pan częstym gościem na plebanji.

Lucjan skłonił się w milczeniu.

Porozmawiawszy jeszcze chwilę, obaj bracia pożegnali się uprzejmie i wyszli.

Na dworze kwietniowe słońce chyliło się ku zachodowi. Przez długi czas bracia szli w milczeniu, kierując się w stronę lasu, widniejącego na horyzoncie Hejnałowa. Kiedy minęli ostatnie domki i znaleźli się na głównej szosie, minął ich mały powozik, ciągniony przez rącze kasztany. Antoni dojrzał kapelusik panny Zofji Czarnolaskiej, która, odwróciwszy się do stangreta, coś rzekła. Powóz zatrzymał się. Młoda dziewczyna wyskoczyła lekko na ziemię i przyjaznym ruchem ręki powitała Reszkę.

— Szczęśliwy traf zdarzył, że pana widzę — zawołała, śmiejąc się wesoło — Stefci Letuskiej potrzebne są nuty do akompanjamentu i prosiła, abym je przywiozła.

Antoni ujął podaną sobie dłoń i odparł:

— Z miłą chęcią! Pozwoli pani, że przedstawię jej swego brata Lucjana!

— Tyle dobrego słyszeliśmy o panu — rzekła do młodzieńca panna Zofja, witając się z nim — że przyjazd pański wywoła z pewnością niemałe poruszenie w naszej okolicy. Z miejsca też zapraszam pana na koncert. A może weźmie pan w nim udział jako występujący?

Lucjan udał przestrach.

— Obawiam się, że byłbym nieprzytomny z wrażenia, widząc tyle par oczu wpatrzonych we mnie w czasie popisu — zażartował.

— Czy jest pan tak nieśmiałym człowiekiem?

— Jak zając!

Młoda dziewczyna zaśmiała się.

— O pańskiej nieśmiałości słyszeliśmy już od pana Antoniego — rzekła — dlatego mamy inne zdanie o panu, aniżeli pan głosi. Zresztą zobaczymy. Ułożenie programu należy do Stefci Letuskiej. Tymczasem, jeśli panowie pozwolą, każę zawrócić konie i pojedziemy po nuty. Dobrze?

— Według rozkazu — uśmiechnął się Antoni, poczem we trójkę wsiedli do powozu i wjechali w wąskie uliczki Hejnałowa.

— Pan do nas na długo? — zapytała Lucjana w czasie jazdy panna Czarnolaska.

Młodzieniec, patrzący na nią z żywem zainteresowaniem, pośpieszył z odpowiedzią:

— Niestety, proszę pani. Za kilka tygodni będę musiał wracać. Nie jest jednak wykluczone, że okoliczności, towarzyszące memu życiu, ulegną pewnym zmianom.

— Bawił pan się w czasie karnawału?

Lucjan rzucił ukradkiem bystre spojrzenie na brata.

— Nie wiele! Byłem na kilku balach. Warszawa wogóle lubi się bawić.

— A pan nie lubi?

— Tego nie powiem! Atmosfera balowa posiada dla mnie pociągający urok.

— Lucjan prześlicznie tańczy — zauważył Antoni — często zastanawiałem się, skąd mój brat czerpał praktykę taneczną, bo wiem, że nigdzie nie uczył się specjalnie.

— Są ludzie uzdolnieni w tym kierunku — odparła dziewczyna — mój papa, kiedy był młody i starał się o mamę, próżno usiłował przyswoić sobie rytmiczne ruchy. Żadne kursy taneczne nie pomogły. W tańcu wyglądał śmiesznie.

Lucjan uśmiechał się z zadowoleniem, nie spuszczając oczu z panny Czarnolaskiej.

Tymczasem powóz zajechał przed dom, w którym mieszkał Reszka. Bracia wysiedli, przyczem Lucjan pozostał przy młodej pannie, bawiąc ją rozmową, Antoni zaś poszedł po nuty. Po kilku minutach był spowrotem. Panna Czarnolaska, żegnana głębokiemi ukłonami Reszków, odjechała do domu.

— No cóż? — rzekł po chwili milczenia Antoni — pójdziemy na spacer?

Lucjan stał zamyślony, patrząc w ślad za mknącym powozem. Nagle drgnął i odparł z westchnieniem:

— Nie mam ochoty! Chodźmy lepiej do mieszkania!

Antoni zgodził się milcząco.

Minęło kilka dni. Codzień rano Antoni chodził do szkoły z regularnością automatu, poczem wracał do domu i przyrządzał obiad. Twarz jego zazwyczaj blada, była jeszcze bledsza. Nurtował go niepokój o brata. Lucjan czytał całemi dniami książki lub też chodził na spacery, błądząc samotnie po lesie. Żadnych skryptów ze sobą nie przywiózł, o studjach mówił niechętnie i dawał niejasne odpowiedzi. Często zamyślał się lub też patrzał szczególnym wzrokiem na Antoniego.

Pewnego wieczoru przed dom Reszki zajechała furmanka chłopska i do pokoju, w którym siedzieli bracia, wszedł jakiś wieśniak z jasnemi jak len wąsami i ogorzałą twarzą.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł, zatrzymując się na progu i zdejmując czapkę.

— Na wieki wieków! — odparł żywo Antoni, podnosząc się z krzesła i idąc naprzeciw przybyłego. — Cóż was do mnie sprowadza, mój Wątorek?

— Wieśniak chrząknął i, trzymając biczysko w lewej ręce, przemówił z pewną nieśmiałością:

— Doprasam się łaski pana nauczyciela, aby zechciał w kumy iść.

— W jakie kumy?

— Niby dziecko do chrztu trzymać.

— Czyje?

— A dyć moje! Narodziło się trzy dni temu i umyśliłem sobie, coby pan nauczyciel do chrztu trzymał. Moja stara kazała się pieknie pokłonić i tyż prosi. Powiado, że kum musi być dobry człowiek, to się krześniak w niego zapatrzy.

Antoni uśmiechnął się łagodnie.

— Bardzo wam dziękuję — rzekł — że tak dobrze o mnie myślicie. Kiedy odbędzie się chrzest?

— A jutro.

— Kogoście wybrali na matkę chrzestną?

— Kilichową, młynarkę.

— To dobrze! Zacna kobieta! Będę jutro w kościele przed południem. A w domu wszyscy zdrowi?

— Dziękować Bogu! Dziadek ino chorzał przez zimę, ale tera mu lepiej. Niech będzie pochwalony! — rzekł chłop, zabierając się do odejścia.

— Na wieki wieków! Bywajcie zdrowi — pożepożegnał go Antoni, zamykając za nim drzwi.

Lucjan, który od pewnego czasu nie czytał książki, przysłuchując się rozmowie, spojrzał na brata z lekką ironją i zagadnął:

— Wiele ty masz chrześniaków?

— Do tej pory osiemnastu — odparł radośnie Antoni — żebyś ty widział jakie to pocieszne maleństwa. Niektóre z nich chodzą już dzisiaj do szkoły. Stary ze mnie papa chrzestny!

(D. c. n.).



ZE SPRAW RODZINY

Na szerokim świecie.

Kośoiół i prawodawstwo zajmowały się od zawsze sprawą rodziny jako komórki życia społecznego, ale społeczeństwa zaczęły organizować się w celu popierania tej instytucji dopiero z końcem XIX stulecia. W roku 1899 p. A. Proost i p. Paweł de Vüyst założyli pierwszą na świecie „Belgijską Ligę Wychowania Rodzinnego". W roku 1905 tenże p. Vüyst (v-minister rolnictwa) organizuje pierwszy, wielki międzynarodowy kongres Wychowania Rodzinnego w Liège (Belgja) pod hasłem „odrodzenia społeczeństwa przez odrodzoną rodzinę". W kongresie tym wzięło udział 20 państw i 1.200 delegatów. Na kongresie założono „Stałą Międzynarodową Komisję Wychowania Rodzinnego" z siedzibą w Brukseli. Już w rok potem odbył się II Międzynarodowy Kongres W. R. w Medjolanie (Italja), a w 1910 r. III Międzynarodowy Kongres odbył się w Brukseli (Belgja) przy udziale już 40 państw i 3.000 delegatów. Polska, choć jeszcze w niewoli, była już wówczas w kontakcie z Międzynarodową Komisją W. R. przez udział Stowarzyszenia Ziemianek. — Wojna przerwała całą akcję. — Po wojnie zaczęły się organizować poszczególne narody. W 1922 roku odbył się Narodowy Francuski Kongres Wychowania Rodzinnego, przewodniczył mu bohaterski jenerał de Castelnau.

Pan de Vüyst organizuje już kraje poza europejskie, — jeździ do Ameryki Północnej i Południowej, porusza Chiny, Japonję, Persję i t. d. Wracając do Europy, ożywioną korespondencję przeprowadza z Sekcją Samokształcenia Matek Stowarzyszenia Zjednoczonych Ziemianek w Polsce i zjeżdża wreszcie do Warszawy w roku 1925; w początkach tego roku powstała pierwsza organizacja rodzicielska p. naz. „Zjednoczenie Zrzeszeń Rodzicielskich w Polsce" z oddzielną „Komisją do spraw Rodziny". Stosunki międzynarodowe zacieśniają się.

IV Międzynarodowy Kongres, który odbył się w Liège wykazał, że po wojnie zainteresowanie „rodziną" jeszcze wzrosło, wobec coraz groźniejszego jej rozkładu, wynikającego ze stosunków moralnych doby powojennej. — IV Międz. Kongres poświęcony był naukowej organizacji pracy i metod wychowawczych. Z Polski wyjechała delegacja Zjednoczenia Zrzeszeń Rodzicielskich, a przewodnicząca komisji do spraw rodziny była jeneralną referentką kongresu, pozatem pierwszy raz rząd nasz wysłał swą reprezentantkę, ale jeszcze w roli „obserwatorki. — Roku 1935 odbył się w Brukseli V Międzynarodwy Kongres Wychow. Rodzinnego pod przewodnictwem senatora br. Delvaux de Feuffe, poświęcony metodom i praktycznym rezultatom metod wychowania rodzinnego. Wobec niezwykłego w świecie zainteresowania zagadnieniem rodziny, Kongres wyszedł nieco poza ramy sobie nakreślone. Narody opanowane totalistycznym światopoglądem, jak: Niemcy, Italia z jednej strony, a Rosja z drugiej, zajmują się gorliwie problemem wychowania młodzieży i rodziną. Rosja sowiecka nie brała udziału w Kongresie, ale pośrednio oddziaływał jej światopogląd, chociaż przyćmiony. Niemcy i Włochy wysłały licznych delegatów. Francja wykazała szeroką działalność, wynikającą ze swej polityki populacyjnej.

Polska okazała nadzwyczajną ruchliwość. Polski Komitet Kongresu wysłał 57 referatów na ogólną sumę 200 kilkudziesięciu z 42 państw. Referat jeneralny (z całego świata) dotyczący nastawienia rodzinnego organizacyj społecznych, wypowiedziany był przez specjalistę polskiego w tej dziedzinie ks. Dyrektora Wł. Lewandowicza. Delegacja polska była bardzo liczna, z niej aż cztery osoby wchodziły w skład prezydjum kongresu jako v. przewodniczący. — Na kilkadziesiat państw, wchodzących w skład stałej Międzynarodowej Komisji Wychowania Rodzinnego w Brukseli, jest tylko dwóch w.-prezesów, z tych jeden Francuz, drugim jest Polka, przewodnicząca „Komisji do spraw Rodziny Z. Z. R. w Polsce". Z tego widzimy jak dawnym, stałym i żywym jest udział Polski w ogólnoświatowym ruchu odrodzenia społeczeństwa przez rodzinę.

V Narodowy Kongres Estonek w Talinie obradował nad zagadnieniem „Dom i rodzina w Estonji". wśród zaproszonych, zagranicznych gości, Polskę rezprezentowała wielce zasłużona działaczka nasza na polu gospodarstwa kobiecego pani Marja Karczewska. W szeregu referatów omawiane było stanowisko domu i związek jego z życiem narodu. Dom rodzinny jest podstawą państwa i społeczeństwa, a więc rozwojowi rodziny muszą służyć następujące wytyczne:

1. Zdrowy pogląd na życie, przeniknięty duchem twórczym.
2. Głębokie uczucie narodowe i uświadomienie państwowe.
3. Poczucie odpowiedzialności w stosunku do państwa, narodu i społeczeństwa.
4. Zachowanie czystości domowego ogniska i związanie w jedną całość wszystkich członków rodziny.
5. Duchowe pogłębienie ogólnego poziomu rodziny i rozwój religijnego poczucia.

Dążenie do pogłębiania zdrowych wpływów na dom jest obowiązkiem każdej jednostki, społeczeństwa i przodowników narodu. Omawiano też prawa kobiet do pracy poza domem.

1. Pierwszym i z naturą zgodnem polem pracy kobiety-matki jest dom rodzinny.
2. Osobiste zamiłowania, uzdolnienia, zawodowe przygotowania uprawniają matkę do pracy pozadomowej.

Ale:

3. Matka jest obowiązana do pracy zawodowej, jeżeli interes rodzimy albo społeczeństwo tego wymaga. — Formuła ostatniego zagadnienia jest dość kompromisowa dla zwolenników i przeciwników pozadomowej pracy kobiet, — czy wobec tego zadowolni jednych i drugich? nie wiadomo.

Jak zaznaczyliśmy: Kościół interesował się zawsze gorliwie instytucją rodziny, ale dziś już nieobliczalnie doniosłe znaczenie mają dwie encykliki Ojca świętego, poświęcone „Rodzinie Chrześcijańskiej" i „Chrześcijańskiemu Wychowaniu Młodzieży"! Akcja Katolicka całego świata poruszyła olbrzymie masy w kierunku odrodzenia chrześcijańskiego rodziny, a przez nią społeczeństwa. „Międzynarodowa Unja Lig Katolickich Kobiecych" posiada dziesięć komisyj, z tych III komisja poświęcona jest „Rodzinie". Ekspertką w tej komisji jest niżej podpisana.

W Polsce.

„Zjednoczenie Zrzeszeń Rodzicielskich w Polsce" obchodziło w grudniu roku 1935 10-lecie swojej działalności; sprawozdanie z tego okresu opracował twórca Zjednoczenia i stały prezes zarządu pan Józef Janota-Bzowski.

W ubiegłym miesiącu styczniu, Z. Z. R. wystosowało memorjał do podkomisji prawa o stosunkach z pokrewieństwa i opieki „Komisji Kodyfikacyjnej", — w sprawie projektu działu Polskiego Kodeksu Cywilnego w stosunkach prawnych rodziców i dzieci p. t. „Rodzina". Projekt opracowany przez prof. Stanisława Gołąba, referenta podkomisji, ukazał się w druku w wydawnictwie: „Komisja Kodyfikacyjna". Zeszyt I. Warszawa 1934 r.

Do wiadomości społeczeństwa przeniknął dopiero w roku 1935 i zaniepokoił opinję swojem ustosunkowaniem ideowem do zagadnienia rodziny. W projekcie *rodzina jest traktowaną wyłącznie jako związek krwi, nie zaś jako instytucja społeczna, która musi być sprężystą, silną organizacją,* opartą na zdrowych, *normalnych stosunkach monogamicznych.* Wszelkie odchylenia od tych zdrowych stosunków winny być uważane jako *występki* przeciw regule, które należy tępić, *a nie normalizować.*

W numerze 2-gim z 16 stycznia 1936 roku, dwutygod. „Pani Domu" pojawił się

b. ciekawy artykuł p. Haliny Siemieńskiej p. t. „Zagadnienie Rodziny". Obok bardzo poważnych i życiowych wywodów, zwróciło naszą uwagę kilka niejasnych twierdzeń. Co znaczy równouprawnienie w rodzinie? Czy rodzina, której członkowie: rodzice i dzieci są równouprawnione (od jakiego wieku począwszy?), może wychować przyszłych, karnych, hierarchję uznających obywateli dzisiejszego państwa? Następnie, czy można, wychowując młodzież, nie brać pod uwagę płci, jeżeli bierze się dziś pod uwagę wszelkie inne cechy charakteru, wychowując indywidualnie każde dziecko na człowieka o wyraźnie zarysowanej osobowości? Pragnęlibyśmy też bliższego określenia, jakiem właściwie winno być równouprawnienie dzieci nieślubnych z ślubnemi mi? Zgadzamy się oczywiście, że niezbędną jest opieka prawna dla tych nieszczęśliwych istot, ofiar nienormalnych stosunków moralnych, mało tego, uważamy, że należy otoczyć je zdrową atmosferą, wynikającą z opinji prawdziwie chrześcijańskiej, wyższej ponad przesądy, ale równouprawnienia nie możemy uznać, takiego uprawnienia, które normalizuje nienormalność.

Wszystkie powyżej przytoczone niejasności w artykule p. Haliny Siemieńskiej, może są tylko wynikiem używania słów w innem znaczeniu, gdyż poza nimi godzimy się całkowicie na myśli zawarte w tej pracy i cieszymy niezmiernie, że je wypowiedziała znana działaczka społeczna na tak wielu innych terenach pracy.

W styczniu b. r. otrzymaliśmy pierwszy zeszyt nowego miesięcznika p. t. „Rodzina i dziecko" jest to organ „Zespołu Rodziców „Zrąb", wychodzi pod redakcją p. J. Rendznerowej. Treść numeru b. ciekawa i głęboko ujęta, na poziomie zagadnień przyrodzonych nie nasuwająca żadnych zastrzeżeń.

W tymże miesiącu opracowaliśmy odpowiedzi na dwa obszerne kwestjonarjusze na temat zagadnienia rodziny w Polsce. Jeden przesłany z Międzynarodowej Komisji Wychowania Rodzinnego w Brukseli, omawiał sprawę działalności za rok 1935 organizacyj społecznych na rzecz rodziny i wychowania rodzinnego. Drugi z Międzynarodowej Unji Katolickich Lig Kobiecych (z komisji III „Rodzina") w sprawie kobiety katoliczki w życiu współczesnem, dobre i złe strony równouprawnienia kobiet w stosunku zadań kobiety w rodzinie. — Odpowiedzi na obie te ankiety dały ciekawy obraz panujących stosunków w Polsce. *Zofja Jankowska.*

ZE SZTUKI

W „Zachęcie" mamy interesującą wystawę portretów Marszałka, na której została przyznana nagroda Alfonsowi Karnemu za doskonałą w swej umiarkowanej stylizacji głowę.

Karny idzie coraz śmielszym krokiem w pełni rozkwitłego talentu.

Jeśli chodzi o inne portrety, to mamy tu bardzo ciekawy przegląd różnych możliwości technicznych i artystycznych. Od portretu realistycznego do monumentalnego, gdzie rysy autentyczne przechodzą w daleką syntezę, gdzie z żywego modelu tworzy się postać heroiczną — to wszystko stanowi bardzo ciekawy przegląd stosunku artysty do zadania portretowego. Ewolucja i przekształcanie się postaci w interpretacji różnorodnego natchnienia — oto co jest ciekawe na tej wystawie.

Wystawa „Zachęty" przynosi obok tego bardzo interesującą ekspozycję grupy grafików „Czerń i biel".

Patronuje im Wyczółkowski, prezentujący doskonały motyw. Podobnie T. Cieślewski (syn) prezes Towarzystwa.

W gronie pięciu członków na pierwszem miejscu wymienić należy Fijałkowską, drzeworytniczkę pierwszorzędną, rozmiłowaną z wierzętach, umiejącą ujawnić ich szczególny wdzięk i urok, to co zjednuje dla nich nasze ludzkie serca. Lecz Fijałkowska rozumie nietylko świat animalistyczny, ale i ludzki w całem bogactwie jego psychologicznych powikłań. Daje im plastyczny wyraz pełen finezji i czaru w przemiłej galerji dzieciaków.

Podwale we Lwowie *L. Tyrowicz (drzeworyt)*



Szczególnie ciekawe są „Zakonnice" i „Wnętrze", dające ciekawy przekrój propoicji ludzkiego istnienia.

W dziedzinie suchorytu para się B. Frydrysiak, celujący szczególnie w wydobywaniu efektu zamglenia dalekich pejsaży, głębi i przejrzystości rozległych wód, a jednocześnie znakomity portrecista-psycholog. Jest to subtelność i pastelowość wprost wirtuozowska.

Wręcz odwrotnie, wprost barbarzyńską jest sztuka Janiny Kłopockiej. Jej technika, szeroka zamaszysta buja na pograniczu fantazji właściwej średniowiecznym mistrzom, wypełniającym swe dzieła niebywałą bajeczną fauną i florą.

Drobiazgową dłubaninką, wprost po jubilersku cyzelatorską, prezentuje Zylberberg, świetnie rozumie on anatomję ludzką, ma niezwykle bogatą fakturę cięcia. Słowem dobry drzeworytnik.

Wystawa Ładu w IPS'ie zwraca naszą uwagę na doniosły problem urządzenia wnętrz. Ład jest w tej dziedzinie pionierem prostoty i swojskości. — I oto są dwie bardzo ważne cechy, które powinny zabezpieczyć nasze mieszkanie od barbaryzacji różnych stylów i pseudostylów.

Prostota urządzeń mieszkalnych i estetyczne projektowanie, to są ważne problemy, nad któremi nie wolno przechodzić do porządku dziennego. Ład całego życia w niemałym stopniu zależy od ładu w naszych mieszkaniach.

ca we Lwowie *L. Tyrowicz (drzeworyt)*



Z TEATRU

„Zburzenie Jerozolimy", wystawione w Polskim, dowiodło, że w Tadeuszu Kończyńskim dramaturgja polska ma mocną pozycję. Autor sięgający najczęściej do tematów historycznych, żeby tylko wspomnieć ostatnio przez niego osobiście wyreżyserowaną „Emilję Plater" i tym razem sięgnął do ulubionego źródła. Sięgnął po temat na wielką skalę, a przytem, jak się okazało, trochę drażliwy dla części ludności obcojęzycznej naszego kraju.

Moment upadku Jerozolimy nie wzbudził w jego interpretacji dramatycznej zachwytu w publiczności, przeważnie zamieszkującej północne dzielnice. Przykro jej było przypomnieć sobie klęski własnego narodu i to klęski tak strasznej w skutkach, jak zburzenie Jerozolimy, od którego zaczęło się rozproszenie ludu wybranego.

Kończyński wziął sobie za cel dramatycznej charakterystyki przedstawienie wszystkich momentów historycznych i psychologicznych, które doprowadziły do klęski.

Przedstawia więc nam galerję postaci, dając w nich przekrój duchowy Izraela. Trudno się roztoczonym przed nami obrazem psyche wybranego ludu zachwycać.

Składowe jej elementy zaiste budzą nietylko zastrzeżenia, ale lęk.

Taką reakcję wywołuje postać Józefa Flawjusza w znakomitej interpretacji Junoszy Stępowskiego. Flawjusz, to jednostka, łącząca w sobie wzniosłość i wielkość dawnych proroków ze słabością i nikczemnością kupczyka sprzed świątyni, jednego z tych, na których bierze się ewangeliczne powrósło.

Lecz jest w tej postaci rys dodatni, to wielkie przywiązanie do świątyni. I to przełamywanie się dwu stron natury Flawjusza, ten tragizm bezsiły, i niekonsekwencji znakomicie wycyzelował Junosza. Rozbieżności duchowe Flawjusza, jego pęd do wielkości i niemoc utrzymania się na trudnej do niej drodze — znalazły rysunek aktorski pierwszorzędny.

Przeciwstawieniem Flawjusza, niegodnego wyraziciela przebrzmiałej wielkości Izraela, jest Tytus, władcza postać, pełna dynamiki imperjalnej, wódz i filozof, głęboko przenikający w dusze, rozumiejący słabostki ludzkie i umiejący je z ironicznym uśmiechem wykorzystywać dla swego celu. Tę postać rzymianina-zdobywcy odtworzył w całym blasku Józef Węgrzyn, dał jej siłę i głębię.

Fanatyzm religijny tchnął w postać arcykapłana Samborski. Powiązał on w monolit dobroduszną złośliwość z nieopanowanemi odruchami nienawiści do wrogów. Był porywający przez rzetelność artystyczną swej kreacji.

Niedołęgę Agryppę, tchórza i głupca, uginającego się pod jednem groźnem spojrzeniem cezara i dławiącego bezsilnie w swej naiwnej wściekłości, zarysował plastycznie Tadeusz Frenkiel.

Bereniką — kusicielką, Sybillą złowróżbną i płaczką jeremjaszową była świetna, jak zawsze, Pancewiczowa.

Całość widowiska znalazła oprawę dekoracyjną wprost imponującą.

„Matura" Fedora wystawiona w Kameralnym wprowadza nas w sferę zagadnień szkolnych. Sztuka nie jest głęboką, ale tem niemniej rzetelną, plastyczną i żywą syntezą przełomu dziewczęcego wieku. Jej bohaterka, w znakomitej przez swój umiarkowany realizm kreacji, Andrzejewska, to typ, powiedzmy sobie odrazu, niezbyt miły. Mała ta kobietka, idąca po maturę, ma moc złych narowów, które sczasem złożą się na potworny charakterek. Lecz w tych narowach łatwo też dostrzec błędy wychowania, pozbawionego autorytetu.



„Zburzenie Jerozolimy", pp. Samborski i Myszkiewicz



Pp. Węgrzyn i Junosza-Stępowski

„Niedobra miłość" Z. Nałkowskiej w Teatrze Narodowym. Scena zbiorowa



Jeśli można, wiele złego da się powiedzieć o tej maturzystce, to co można powiedzieć dobrego o jej kierowniku, dyrektorze, który tak się dał zahukać, a nawet usidlić. Postać dyrektora doskonale zarysował Adwentowicz, dając wzór gry skupionej. Po świetnej kreacji w „Sąsiadce", gdzie jego Eustachy był arcydziełem finezji ironizmu, nowa postać znów pełna plastyki i żywotności.

„Niedobra miłość" Nałkowskiej, ostatnia premjera w Narodowym, to sztuka o dużych walorach dramatycznych, stanowiąca dalszy postęp techniki teatralnej tegorocznej laureatki.

Miłość Renaty Słuczańskiej jest bardzo niedobra, kaleczy i niszczy jej i cudze życie. Autorka w logicznie zarysowanym rozwoju tej miłości ukazuje cały mechanizm tragizmu, żelazną konsekwencję skutków, idących w ślad za ludzkiemi błędami. I to jest szczególnie ważne.

Z PIŚMIENNICTWA

O Sienkiewiczu, tablicy i rzeczach à propos. Henryk Sienkiewicz znalazł się znienacka w sytuacji Oskara Wilde'a. Tamtemu jedyny wianek na trumnę sprawił właściciel hotelu, w którym umarł; Sienkiewiczowi tablicę na domu, w którym mieszkał, zafundował właściciel tego domu. Stało się tak ostatniej jesieni przy remoncie kamienicy u zbiegu Kruczej i Hożej w Warszawie. Kamienica ta, po odbiciu tynku do cegły, uzyskała zupełnie odmienny wygląd niż w czasach, gdy ją zamieszkiwał Sienkiewicz, temniemniej po zakończeniu robót wmurowano na wysokości pierwszego piętra szaro-czarną tablicę, na której złote wersaliki wybłyskują słowa napisu: „Tu mieszkał / Henryk / Sienkiewicz / od 22. X. 1902 R. / do 10. X. 1911 R." Taki dowód pietyzmu każe przypomnieć fakt mniej przyjemny: niema jeszcze tablicy na innym domu (róg Kruczej i Wspólnej), gdzie Sienkiewicz zamieszkiwał w okresie najświetniejszego rozkwitu swego talentu — w okresie Trylogji. Literaci zapomnieli o czemś podobnem, a właścicielowi domu też nieniewola wykosztować się na marmur i kamieniarza. Ponieważ trudno byłoby wmurowywać jeszcze trzecią tablicę — na ostatniem warszawskiem mieszkaniu Sienkiewicza (róg Szopena i Mokotowskiej), najwłaściwiej byłoby postawić pomnik jego w najbardziej przez niego ulubionej dzielnicy. Nadawałby się do tego najlepiej skwer u zbiegu Pięknej, Mokotowskiej i Kruczej. (ch)

Laury Choromańskiego. Debjutancka książka Michała Choromańskiego — Biali bracia, o których krążyły w swoim czasie plotki, że byli przygotowani do druku przez Kazimierza Wierzyńskiego, zostali obecnie przetłumaczeni na język niemiecki. Niepierwszy to sukces zagraniczny Choromańskiego, który w fazie obecnej każe oczekiwać po sobie niespodzianek: oto nagle objawiła się przed nim sfera życia społecznego. Przyczyniły się do tego przeżycia na pograniczu czechosłowackiem i obserwacja tego, co dotyka Polaków za południową granicą. Wyrażać można nadzieję, że w twórczości wrażliwego egotysty pozostawi to ślad trwalszy — nietylko wywiady i publicystyczne drobiazgi. (ch)

ZANE GREY: Kwiat Colorado. Przełożyła J. Sujkowska. 283 stron, barwna obwoluta L. Jagodzińskiego. Wydawnictwo M. Arcta, Warszawa, 1935. Cena w broszurze zł 4.50, w opr. płóc. zł 6.50.

Na górskiem zboczu, wśród traw i kwiatów, górale znaleźli małą, śliczną dziewczynkę. Oddali ją na wychowanie bogatemu ranczerowi, który pokochał ją, jak własną córkę. Gdy dorosła, postanowił wydać ją za swego syna, zepsutego, zdemoralizowanego chłopaka, w nadziei, że wpływ dziewczyny nawróci go na drogę rozsądku i uczciwości. Dziewczyna kocha innego, ale uważa, że obowiązek i wdzięczność wobec opiekuna nakazuje zapomnieć o własnem szczęściu.

Wtem zjawia się tajemniczy wędrowiec, prawdziwy ojciec dziewczęcia. I oto proste opowiadanie z dziejów Dalekiego Wschodu nabiera posmaku nieledwie sensacyjnej powieści. Autor podnieca umiejętnie ciekawość czytelnika, budzi w nim niepokój o losy bohaterów i trzyma uwagę w napięciu aż do końcowego rozstrzygającego momentu.

Doskonała lektura dla młodych i starszych, po całodziennej nużącej szarej pracy. Przenosi w kraj barwny, w życie surowe i twarde a przecież piękne. Pierwotne warunki bytu każą człowiekowi żyć intensywniej i mocniej, wymagają większego napięcia władz fizycznych i umysłowych i wyzwalają, rzec można „prawdziwego człowieka", odkrywając jego piękno wewnętrzne lub szpetotę.

Jerzy W. Helbich. Serce naoścież. Wiersze. 1936. Str. 38. Zdobił S. Bogucki.

Debjut poetycki, to niewątpliwie dla autora chwila głębokiego wzruszenia. Dla czytelnika zaś o tyle, o ile autor umie w nim poruszyć struny estetycznej wrażliwości, wywołać niezbędny przytem refleks uczuciowy. Im jest on głębszy, tem tęższe i piękniejsze dzieło poety. Oczywiście dziś niełatwo wywołać tonem liryk wielkie poruszenie serc i umysłów. Tyle już przeżyliśmy rewolucyj poetyckich, tylu książąt poezji wieńczyliśmy laurem, że staliśmy się wybredni i kapryśni. Niełatwo nas porwać i ujarzmić czarem poetyckiej mowy. Cieszmy się jednak, jeśli zdarzy nam się przeżyć szereg miłych wzruszeń nad jakimś nowym tomikiem, jeśli wdzięk jakiegoś utworu, jak to razporaz jest w „Sercu naoścież", każe nam na chwilę zapomnieć o wszystkiem i rozsmakować się w piękne metafory, w iluzji poetyckiego obrazu, w oryginalności refleksji.

Taki sukces jest niewątpliwym udziałem młodego poety. Niejedna strofka przemawia do nas żywiej i budzi miły refleks.

Rozumiemy ducha krucjat, który przemawia ze strofek religijnych utworu poety, zgadzamy się chętnie na jego aprobatę wiejskich rozkoszy i niechęć do miast. Współczujemy głęboko doli poety, zmuszonego do życia w mieście i przyjaźnie wsłuchujemy się w jego ewokację:

Niech me uczucia, jak drzewa zmrożone
Odżyją także — i niech sen się wyśni.
Niechaj bogactwem twórczym zapłonę,
Rodząc rumiane jabłka dobrych myśli.

Budzi się w nas życzenie, by los pozwolił poecie odżyć z tego zamrożenia we wrogiej atmosferze obcego środowiska i zanucić nam radosną pieśń z pełnej już piersi. *cki.*

Goetel w Akademji! Fotel po Choynowskim w wyniku powtórnego głosowania, odbytego w lutym, przypadł noweliście i powieściopisarzowi — Ferdynandowi Goetlowi. Wybór Goetla do Polskiej Akademji Literatury był rzeczą stosunkowo łatwą do odgadnięcia i zdumienie tylko budziło przewlekanie tego faktu, stwierdzić bowiem trzeba, że jego kandydatura wywoływała najmniej zastrzeżeń. Była to jakby kandydatura kompromisowa i właściwie wprowadzając Goetla do Akademji, nagradzano nietyle jego dzieło pisarskie, co raczej ruchliwość w organizowaniu życia literackiego w Polsce, a to było bezsprzeczne. W momencie wystąpienia miał Goetel większe znaczenie niż teraz: odznaczał się swoistem obliczem; obecnie jest to autor doskonałych książek, które doskonale przechodzą bez żadnego wrażenia. Dlatego obawiać się szczerze należy, żeby wybór Goetla, tak fortunny dla osłabionego prestiżu Akademji, nie odbił się niefortunnie na jego twórczości. Jeszcze jedną „Podróż do Indyj" przeczyta się z przyjemnością, ale taka książka czytelnikiem nie wstrząśnie.

Wobec lawiny nagród. Państwową nagrodę literacką przyznano Zofji Nałkowskiej za powieść pt „Granica". Nagrody Akademji Niezależnych i czytelników „Wiadomości Literackich" uzyskał Józef Wittlin za „Sól ziemi", która stanowi pierwszą część trylogji pt „Powieść o cierpliwym piechurze". Nagrodą Młodych Polskiej Akademji Literatury po Choromańskim i Kurku odznaczony został Światopełk Karpiński — autor „Trzynastu wierszy." Tym razem Akademja, ratując swą nadwątloną opinję, nagrodziła poetę, wyjątkowo nieciekawego (choćby nawet w zestawieniu z jego kontrkandydatem — Józefem Łobodowskim), mało wdodatku oryginalnego; tak że powiedzieć można, nagrodzono „grzecznego chłopczyka", który ładnie kopjuje wzorki, lecz poza wzroki nie wychodzi. Jest to najzupełniej sprzeczne z ideją Nagrody Młodych, która powinna nagradzać nowe usiłowania, ale taka koncepcja nagrody jest, zdaje się, absolut-



Ferdynand Goetel

nie obca w łonie Akademji. Przynajmniej o tem świadczy fakt ostatni. Właściwie, unikając kompromitacji, popełniono — inną wprawdzie, ale kompromitację. By przyznać nagrodę, nie można tylko czytać; trzeba m y ś l e ć! Naprawdę MYŚLEĆ.

Po śmierci Kiplinga. Śmierć Rudyarda Kiplinga, zbiegająca się ze śmiercią króla Jerzego V, jest jakby symbolicznem zejściem do grobu starej Anglji imperjalistycznej. Kipling urabiał opinję w tym kierunku, wykonawcą faktycznym którego był zmarły równocześnie z nim monarcha. Jest rzeczą charakterystyczną, że ten szermierz idei imperjum angielskiego był Anglikiem z kolonij i temu może zawdzięczać należy, że nie wyrósł w jego osobie jeszcze jeden gładki esteta w rodzaju Oskara Wilde'a. Dla narodów, nieprzesiąkniętych ideją kolonjalną i kultem białego człowieka, lektura dzieł Kiplinga jest miejscami irytująca, ale okupuje to wysoki artyzm i szczery humor, np w malowaniu życia dżungli, która nieprędko znajdzie powiernika tej miary co Kipling. Tłumaczony na język polski od lat kilkudziesięciu, ostatniemi laty stał się Kipling mniej popularnym, śmierć jednak powinna go przypomnieć i skłonić do lektury jego dzieł. Dla czytelnika polskiego Kipling nie będzie tem, czem był dla Anglika, nie będzie to jednak lektura niepożyteczna, a wprost przeciwnie nawet.



Rudyard Kipling

Z MUZYKI

Ewa Bandrowska Turska. — Goście z Sowietów.

Sława artysty jest jego osobistą, wyłączną własnością dopóty tylko, póki pracuje on w kraju. Jego działalność artystyczna staje się, z chwilą, gdy rozszerza się na obce tereny, działalnością propagandową. Zupełnie to naturalne i zrozumiałe. obce społeczeństwo patrzy na przybysza-cudzoziemca nietylko jako na jednostkę, ale jako na reprezentanta; uogólnia jego cechy indywidualne, widząc w nich cechy charakteru jego narodu, z którym ma kontakt bezpośredni właśnie przez tego pojedyńczego człowieka.

My możemy rozumieć to i doceniać lepiej, niż inne narody; przecież w czasach najostrzejszej niewoli, bezimienni na mapie, pozbawieni własnej państwowości, mogliśmy zabierać głos nazewnątrz i składać dowody, że mimo wszystko istniejemy — jedynie za pośrednictwem przedstawicieli naszej kultury i sztuki. Świat wiedział, że naród żyje, — bo znał genjuszów, którzy byli jego dziećmi.

Taką rolę orędownika polskiej sprawy, wyraziciela polskiej duszy wobec obcych odgrywał w swoim czasie Chopin, a w bliższej nam epoce, z zupełną świadomością i wolą ofiarną — Paderewski.

Jeśli więc artysta (zwłaszcza muzyk, bo językiem muzycznym, który nie potrzebuje tłumacza, równie łatwo jest przemawiać do wszystkich narodów) istotnie w sztuce swej stoi na najwyższym poziomie, wtedy do jego artystycznej sławy i zasługi przybywa splendor nowy: godność jakgdyby nieoficjalnego „ambasadora". W ciągu ostatnich kilku lat takim „ambasadorem" stała się na terenie sztuki wokalnej E w a B a n d r o w s k a - T u r s k a.

Znaliśmy ją już przedtem; współpracowała ze wszystkiemi niemal najpoważniejszemi placówkami muzycznemi w kraju. Znaliśmy sugestywną siłę i plastykę jej kreacyj scenicznych, — jej czarującą, subtelną kulturę na estradzie, — magiczny urok jej głosu przemawiał do nas przez radjo; ceniliśmy ją, nawet obdarzali sympatją, ale — jak zawsze, niestety, w stosunku do swoich, póki zagranica nie przyłoży swego „placet" — z wielką, ostrożną rezerwą. I oto nagle jej sława śpiewacza rozkwitła na obcym terenie: sława, oparta nie na pustym wrzasku reklamy, lecz na istotnych, najgłębszych walorach artyzmu. I okazało się, że to, co nam się tylko „podobało", trzeba na innej, wyższej płaszczyźnie umieścić, a temperaturę wrażeń podnieść z chłodnego uznania — do entuzjazmu.

Kilka ostatnich lat — to dla Bandrowskiej nieprzerwane pasmo triumfów w największych ośrodkach muzycznych świata. Paryż, Wiedeń, (Opera Państwowa), Bruksela, Medjolan, Budapeszt, Ryga, Kopenhaga, a w sezonie ubiegłym New-York i Chicago — oto niektóre tylko etapy jej artystycznych podróży. Wszędzie podbija publiczność talentem niezwykłej miary, kunsztem śpiewaczym świadomym siebie, wszechstronnie opanowanym, coraz doskonalszym i pełniejszym. Wszędzie prasa wyraża się o niej w tonie najszczerszej admiracji, zaliczając ją zgodnie do najznakomitszych śpiewaczek współczesnych.

Wyraziła się o niej Maksakowa (artystka z Z. S. R. R., której występy w Warszawie omawiam na innem miejscu): „Poznałam polską muzykę współczesną dzięki Ewie Bandrowskiej". Istotnie, Bandrowska wszędzie i zawsze akcentuje dobitnie swą polskość, śpiewa polskie pieśni i w polskim języku. Nie zawahała się nawet śpiewać po polsku w Kownie, narażając się przez to na poważne przykrości i szykany. Sprawa ta, nader głośna w ubiegłym sezonie, rzuca na naszą śpiewaczkę odblask sui generis bohaterstwa.

Fantastyczne wprost rozmiary przybiera powodzenie Bandrowskiej w Sowietach. Pisząca te słowa była kilkakrotnie, dzięki radju, świadkiem jej tamtejszych występów i żywiołowych owacyj, jakich nie pamiętają w Rosji od czasów, gdy jaśniała w zenicie sława Szalapina. Lecz publiczność sowiecka nie poprzestaje na konwencjonalnych, wszędzie jednakich, różniących się tylko nasileniem sposobach wyrażania swych uczuć; publiczność ta, impulsywna, a w muzyce zdawien dawna rozkochana, zdobywa się w stosunku do swoich ulubieńców na nowe, własne formy, — na serdeczne gesty, urocze w swej spontaniczności. Uwielbienie dla Ewy Bandrowskiej wkracza tam niemal w granice kultu: sypią się listy, często rymowane, od nieznanych „szarych" słuchaczy; tłumy, tamujące czasem ruch kołowy, cisną się przed teatrem i przy wyjściu z sali koncertowej, „żeby — jak mówią — choć raz popatrzeć na nią zbliska"; a oto obrazek najbardziej może charakterystyczny: grupa obcych sobie ludzi, spotykając się stale na koncertach Bandrowskiej, zapoznała się wreszcie osobiście między sobą i na pożegnalnym występie ofiarowała naszej śpiewaczce zbiorowy piękny adres, opatrzony podpisami wszystkich członków tego mimowoli zawiązanego „klubu".

Tak reaguje publiczność; prasa zaś, nie lękając się superlatywow, gdy chodzi o ocenę zjawisk miary niezwykłej, wyraża swobodnie swój pełny entuzjazm i powtarza za „szarym tłumem" popularny, serdeczny przydomek, nadany Bandrowskiej w Sowietach: „polskij saławuszka".

Obecnie, po 56 występach w Rosji (recitale, opery, koncerty symfoniczne, audycje radjowe) Ewa Bandrowska wróciła na krótki wypoczynek do kraju, skąd wyruszy niebawem do Skandynawji. W międzyczasie dała dn. 25 stycznia b. r. recital pieśniarski w warszawskiem radju. Znowu olśniło polskich słuchaczy piękno jej głosu o przedziwnej giętkości i barwie bogatej. Mówię: „olśniło"; — ta utarta, potoczna metafora ma w tym wypadku dosłowne znaczenie. Istotnie, głos Bandrowskiej wywiera chwilami, przy największem napięciu, wrażenie poprostu optyczne — wrażenie wybuchającego nagle promiennego światła.

Nie będziemy dziś zagłębiać się w szczegółową charakterystykę śpiewaczej maestrji Ewy Bandrowskiej. Odkładamy to do większego recitalu, z którym — mamy nadzieję — znakomita artystka wystąpi obec-



Ewa Bandrowska-Turska

nie w Warszawie, a na który czekamy z upragnieniem. Pragnęlibyśmy jedynie, nawiązując jeszcze do recitalu radjowego, wspomnieć o jego programie. Był on prześliczny, wytwornie zestawiony, przeznaczony niemal na całej linji dla „smakoszów" muzycznych. Obejmował subtelne klejnociki starofrancuskie (m. in. uroczą arję Grétry'ego z „Ryszarda Lwie Serce", adoptowaną przez Czajkowskiego w „Damie Pikowej"); potem szły polskie i rosyjskie pieśni współczesne (tu zwróciła na siebie uwagę przemiła w swej dziecinnej prostocie „Pastereczka" Łucji Drège-Schielowej i eteryczna, pełna finezji „Wokaliza" Własowa); wreszcie — w myśl tradycji, na której przestrzeganie skazane są wszystkie wielkie śpiewaczki koloraturowe — wirtuozowski popisowy walc: „Zaproszenie" Webera. Koroną recitalu były dwa „Sonety Petrarki" Liszta, wspaniałe pieśni-poematy, wyposażone w cały przepych barw i nastrojów, tak w partji wokalnej, jak i w solowo niemal traktowanym akompanjamencie. Pieśni te, znane i popularne wszędzie dzięki transkrypcji fortepianowej, dokonanej przez samego Liszta, uchodziły u nas zawsze za oryginalne utwory fortepianowe. Wykonanie ich przez Bandrowską w pierwotnej postaci stało się więc w warszawskiem radju sensacyjną „premjerą". A było poprostu mistrzowskie! deklamacyjny patos Liszta dźwięczał u Bandrowskiej nutą nawskroś szlachetną, wibrował najczystszą, natchnioną poezją, której zaklęcie od pierwszej chwili zagarnęło słuchaczy pod swoją władzę i otworzyło przed nimi czarujący świat romantycznej bajki.

* * *

W połowie stycznia gościła w Warszawie drużyna artystów sowieckich: W. Barsowa (sopran koloraturowy), M. Maksakowa (mezzo-sopran), D. Ojstrach (skrzypek), G. Ginzburg (pianista) i dwóch akompanjatorów: A. Makarow i W. Topilin. Ogółem dali oni dziesięć występów (w Operze i Konserwatorjum), zakończonych wspólnym koncertem w Filharmonji. Mieliśmy więc sposobność raz jeszcze oglądać owoce żelaznego, ujętego w surowe rygory systemu pracy artystycznej w Sowietach — i sprawdzać obserwacje, poczynione już poprzednio na konkursach międzynarodowych Chopina i Wieniawskiego. I znowu niezmiennie nasuwa się ten sam wniosek: wiele smutnych, bolesnych i przerażających rzeczy dzieje się u naszych wschodnich sąsiadów — ale to jedno: umiłowanie sztuki i zdolność do karnej, wytrwałej, utrzymanej stale w najwyższem napięciu pracy nad nią — należy w nich uszanować i podkreślić, i kto wie, czy na naszym gruncie nie zaszczepić.

Publiczność warszawska przyjmowała wszystkich artystów sowieckich nader gorąco. Zaszło przytem dość dziwne zjawisko, dające się chyba wytłumaczyć tylko starą, jakże mądrą życiowo maksymą: „Cudze chwalicie"... Oto na ulubienicę swoją i królową całej drużyny publiczność pasowała przez szalone wprost, entuzjastyczne owacje — Walerję Barsową; wybór ten, w poważnym stopniu usprawiedliwiony po występie jej w „Cyruliku", na estradzie wydaje się zgoła niesłuszny. Poczucie żywiołu scenicznego, ogromna rutyna aktorska, lekkość ujęcia, ciepły rumieniec życia, jakim tryska Rozyna Barsowej, wszystko to, co w niej ujmuje na scenie — na estradzie zatraca się zupełnie. A raczej nie! pozostaje w całości, i dlatego właśnie razi; przecież scena i estrada, opera i pieśń — to dwa światy odrębne, niezmiernie dalekie; nie można do nich podchodzić z zasobem tych samych środków wykonawczych i z tem samem nastawieniem psychicznem; a takie właśnie wrażenie wywiera Barsowa. Nawet jej niezaprzeczony wdzięk, w „Cyruliku" zupełnie na miejscu, w Filharmonji nabrał cech mocno jaskrawych i przeszedł z rubryki plusów do minusów artystycznych; jej stosunek do słuchacza, oparty na niezmiennie uśmiechniętej kokieterji, wkońcu zaczyna drażnić i męczyć. A przytem program aż nazbyt „popularny", a równie „popularne" jest jego ujęcie (poza jednym, kunsztownie wycyzelowanym i dyskretnie podanym „Gawotem" Lecocq'a). Barsowa posiada wielkie walory czysto śpiewacze: piękny, zdrowy i krzepki głos, technikę nader przejrzystą, choć nieco ostrą, a w staccatach przyciężką; zdobywa jednak salę głównie za pomocą niezliczonych sztuczek, gierek głosowych i interpretacyjnych, które, jakkolwiek niezawodne, gdy chodzi o doraźny efekt, niewiele mają w sobie artystycznej powagi.

Bez porównania wyżej stoi Marja Maksakowa; głosowo ustępuje coprawda swej koleżance, ale skromnym tym materjałem wokalnym włada mądrze i czujnie. Tę skupioną, inteligentną i szlachetną śpiewaczkę łączy jakby dalekie bardzo, ale niezaprzeczone pokrewieństwo duchowe z Marian Anderson. Pieśniarkę zwycięża w niej jednak artystka operowa. Jej niepospolita Carmen, tętniąca życiem — a nie wulgarna, pełna prawdy psychologicznej w koncepcji, a umiaru w zewnętrznych środkach wyrazu, zyskała — i słusznie — pełne uznanie naszych słuchaczy. Zwłaszcza silnie utkwił im w pamięci przejmujący, pojęty z całą logiką sytuacji scenicznej finał opery, oraz wspaniale przeprowadzona scena z kartami, w której oryginalnemi, a pełnemi prostoty sposobami czysto muzycznemi — tempem i dynamiką — wywołała artystka nastrój niesamowitej grozy.

Ginzburga i Ojstracha znamy już dobrze z konkursów Chopina i Wieniawskiego; ich obecne występy potwierdziły raz jeszcze opinję o nich, jako o poważnych, interesujących i bardzo utalentowanych artystach. Powszechną uwagę zwracał, poza nimi, akompanjator Ojstracha, Wsiewołod Topilin. Ten pełen uroku pianista, o specyficznie „sowieckim", miękko zamglonym kolorycie uderzenia, (jakby stworzonym do „Fontaine d'Aréthuse" Szymanowskiego, którą grał pięknie z Ojstrachem) stał się przedmiotem oddzielnej, „własnej" owacji.

Jadwiga Szamotulska.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Ten, który jest napełniony miłością, biega, lata, weseli się, swobodny jest, i nic go nie wstrzyma.

Daje wszystko za wszystko i ma wszystko we wszystkiem; albowiem spoczywa jedynie w Najwyższym, z którego wszelkie dobro pochodzi i płynie.

Nie zważa na dary, lecz wznosi się nad wszelkie dobro, i zwraca się ku Temu, który obdarza.

Częstokroć miłość nie zna granic, lecz pała nad wszelką miarę.

Miłość ciężaru nie czuje, na trud nie zważa; więcej chce, niż może ;u niej niemasz nic niepodobnego, bo sądzi, że wszystko jej wolno i że wszystko może.

A więc, wszystkiego jest zdolna i wiele dokaże i uskuteczni tam, gdzie ten, który niema miłości, ustaje i upada.

Tomasz à Kempis.
O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

„GDYNIA"

„Mała ta książeczka pragnie spełnić wielką rolę" — pisze we wstępnem słowie Janusz Stępowski, jej twórca, w „książeczce", którą dla uczczenia szesnastolecia istnienia naszej umiłowanej Gdyni, na brzegu Bałtyku, wydała Liga Morska i Kolonjalna.

Wydała prześlicznie!

„Książeczka przychodzi do Was, — do Młodzieży", pisze dalej Autor, „puka do waszych teatrów szkolnych i scen amatorskich, przynosząc całkowicie przygotowany materjał teatralny do urządzenia wieczornic czy akademij morskich"...

„Otwórzcie tę książeczkę tak, jak się otwiera serce na widok naszego morza i Gdyni... Niech Wam opowiada o dziejach historycznych małej, nieznanej wioski rybackiej... która stała się dziś zwierciadłem najpiękniejszych marzeń, urzeczywistnionych w żywych kształtach wspaniałego portu Polski".

Istotnie, kiedy się pomyśli, że jeszcze przed dwudziestu laty było zaledwie kilka domków rybackich, a nad tym brzegiem, rozwieszone sieci, które naprawiały skrzętne Kaszubki, pozatem pustka i cisza, to wierzyć trudno, patrząc na to, co na tym skrawku ziemi, zmienną falą nawiedzanym, stworzyła wola zbiorowa narodu, który chce żyć i świadczyć dokumentem spełnionego czynu, że życia tego wart.

„Gdynia", takie miano nosi wydawnictwo, to natchnione myśli, wspaniałym wypowiedziane językiem, przez Janusza Stępowskiego, który za cudną „Legendę o Masztowej Sośnie" w ubiegłym roku przez Zarząd Tow. Literatów i Dziennikarzy Polskich, otrzymał nagrodę Im. Szareckiego.

Zebrane deklamacje, śpiewy, tańce i pieśni kaszubskie, inscenizuje Wanda Tatarkiewicz-Markowska, ilustrację muzyczną daje Władysław Macura.

Całość ozdobiona piękną akwarelą Bolesława Surałło i wykwintnem opracowaniem graficznem Adama Siemaszko.

Przepiękne poezje: „Pieśń Marynarzy", „Piosenka Ułańska", Śpiew fal gdyńskich", do których jest muzyka, wszystko przystosowane do wykonania przez młodzieńcze zespoły harcerzy i uczniów szkół, może szeroko wejść w życie, kształcąc i wyrabiając ich umiłowanie dla prawdziwie pięknych poetyckich natchnień.

Koła szkolne, które już dziś liczą się na setki, a dzieci i młodzieży w nich już na tysiące, aż do kół akademickich, które baczną pieczą ogarnęły swój współudział w pracach dla Ligi Morskiej i Kolonjalnej, niezawodnie rozchwytają prześliczne i poczytne wydawnictwo „Gdynia", na którego kartach w kilku świetnych akordach wydobył Poeta „hymn głośny — dumny śpiew żeglarzy", poczynając opowieść następnemi tony:

Tyle wieków daleka, nikomu nieznana,
byłaś wioską rybacką i w słonecznym blasku
wstydziłaś się, żeś mała i biednie odziana
w szarą suknię, uszytą z nadmorskiego piasku.

W Krakowie i w Warszawie królom dzwony grały,
a tobie tylko fale... Szli w zbrojach zakuci,
rycerze z sławną pieśnią, a tobie w śnie białym,
tylko wicher o Polsce w pustce głuchej nucił.

Nic się nigdy nie stało w rybackiem okolu,
sztorm przeszedł, to znów słońce z morza zaświeciło,
przybyło tylko ludziom żeglarskiego bolu,
gdy się fale z cmentarzem dzieliły mogiłą.

Nikt nie pomniał w pamięci, jak wzrastałaś w cieniu,
długie wieki czekając, aż przyjdzie godzina,
że pierwszy ciebie zbudzi w historji imieniu
król Władysław i nazwie cię w swych dziejach — Gdina.

Chciałoby się nie przerywać cytat aż do ich wyczerpania. Nie można jednak zabierać rozkoszy pierwszych wrażeń naszym Czytelnikom, jakie im niezawodnie da — ta śliczna, tak skromnie przez Autora nazwana: „książeczka". *L. K.*

O CO DOPOMINAJĄ SIĘ KOBIETY?

W Zjednoczeniu Kobiet pracujących zawodowo na zebraniu klubowem przeprowadzono dyskusję nad sprawą pracy zarobkowej kobiet.

Dyskusję zaczęła p. Milewska-Welmanowa, która zacytowała wydane w Belgji w formie dekretów królewskich w okresie 1933-5 zarządzenia, ograniczające prawa kobiet do pracy, względnie zarobek mężatek. Wszystkie te dekrety zostały cofnięte. Bezrobocia nie leczy się tworzeniem nowego bezrobocia pewnych warstw.

Kobiety, zredukowane z pracy zarobkowej w urzędach, wytworzyły bezrobocie pracowników, obsługujących dom: krawcowych, fryzjerek, bieliźniarek, służby domowej i t. p. Okazało się tylko w wyniku przerzucenie bezrobocia.

Organizacje kobiece belgijskie wystąpiły b. silnie przeciw tym krzywdzącym zarządzeniom, które — dodajmy — motywowane nieraz były w sposób bardzo niezręczny, tak np. obniżka płac mężatek o 25 proc. była motywowana tem, że... kobiety nie odbywają służby wojskowej. Możnaby spytać, czy mężczyźni rodzą dzieci? Jedno za drugie.

W dalszym ciągu przemawiała p. Rajkowska — czł. Stow. urzędn. państw., p. Lucyna Robowska — znana muzyczka, p. W. Mizgier i w. in.

Zwrócono uwagę, że płace 80 proc. urzędniczek-kobiet w Polsce wynoszą od 100 do 200 zł.

W związku z tą dyskusją przypomniano, że Belgijki stworzyły t. zw. „służbę czujności", która śledzi, czy gdzie nie grozi kobietom jakiś tajny okólnik, zastępujący dekret bez hałasu, czy niema gdzie krzywdzących nieumotywowanych złem wykonywaniem pracy redukcyj i t. p.

U nas sprawą tą zajmie się komisja specjalna, która ma łączność z wszelkiemi urzędami i instytucjami.

Ostatni „Biuletyn Polskiego Zjednoczenia Kobiet, pracujących zawodowo" stwierdza, że dotąd u nas nie wyszły dekrety, któreby pozbawiały równych praw w pracy i płacy kobiet zawodowo przygotowanych do podjętych obowiązków, i należy wierzyć, że dekret taki nie wyjdzie. Przedstawicielki Polskiego Zjednoczenia Kobiet pracujących zawodowo czynią wszelkie ku temu starania.

Przewodniczy Zjednoczeniu p. Anna Paradowska-Szelągowska, która z czterema członkiniami Zjednoczenia została przyjęta na audjencji u P. Prezydenta Rzeczypospolitej, złożyła w tej sprawie obszerny memorjał.

Sekcje Zjednoczenia pracują gorliwie, zgromadzając kobiety wybitne w pracach różnego kierunku. Spotykamy w sekcjach nazwiska dobrze nam znane pp. M. Morozowicz-Szczepkowskiej, Pia Górskiej, Julji Ujejskiej, L. Nitschowej, Jadwigi Krawczyńskiej, Romany Dalborowej, Krystyny Dydyńskiej, Haliny Brzoskówny, Stefanji Podhorskiej-Okołow, Lucyny Bobowskiej, Ilsy Glinickiej i setki innych, słusznie broniących praw, których nabyciu poświęcały tyle pracy i trudu.

Zjednoczenie, poza troską o zasadnicze sprawy, dąży do niesienia pomocy koleżeńskiej, organizując kursy języków obcych, wycieczek zbiorowych, z których pierwsza prowadzić ma na kongres kobiecy do Paryża w lipcu b. r. i połączyć to ze zwiedzeniem Francji.

P. adwokat M. Czarnecka, Złota 59 m. 3, udziela członkiniom Zjednoczenia bezpłatnie porad prawnych, a Zarząd przystępuje do zorganizowania Sekcji Urzędniczek Państwowych i prywatnych, kierując się uchwałą, która zapadła w grudniu r. ub. na zebraniu, głosami 10 organizacyj kobiecych, a brzmi jak następuje:

„Zebrane dnia 19 grudnia 1935 r. w sali Klubu Polityczno-Społecznego przedstawicielki 10 organizacyj kobiecych stwierdzają, że uzyskane wysiłkiem szeregu pokoleń prawo do pracy zarobkowej, zgodne z obowiązującem w Polsce ustawodawstwem jest niezaprzeczalnem prawem każdego człowieka bez różnicy płci i podstawową koniecznością obecnego ustroju gospodarczego, oraz czynnikiem życia rodzinnego.

Że zatem wszelkie ograniczenia w tej dziedzinie godzą nietylko w prawa kobiet, ale i wyrządzają niepowetowane szkody państwu i społeczeństwu.

Przeto zebranie wypowiada się przeciw wszelkim projektom, zmierzającym do naruszenia tego prawa, i domaga się, aby zachowaną została w praktyce w całej rozciągłości dotychczas obowiązująca zasada równyoh praw dla wszystkich obywateli bez różnicy płci".

Życie, ten potężny regulator naszych spraw, ureguluje i zróżniczkuje zastępy szukające spełnienia swych obowiązków kobiet.

Ale z chwilą kiedy uniwersytety otwarły dla nas swe podwoje, a wymogi rozwoju kształcenia się w każdym kierunku wzmagają się z każdą niemal godziną, słusznie kobiety bronią swych praw, aby móc zadosyć czynić obowiązkom, jakie na nie wkłada dom i tworzenie kulturalnej rodziny, której zawsze będą przewodniczkami, i cowięcej zawsze za jej dostojeństwo — odpowiedzialnemi. *M.*

ZWIĄZEK POLEK W AMERYCE

Ze wszechmiar zasługującą na uwagę i bardzo zajmującą notatkę daje w „Kronice Kobiecej" Kurjera Warszawskiego dbała zawsze o nasze sprawy p. Zofja Zaleska, przytaczając szczegóły korespondencji p. Sz. Kozłowskiej z „Narodowca", wychodzącego w Lens, w której czytamy o Związku Polek w Ameryce, co następuje:

„Związek Polek w Ameryce wyróżnia się spośród polskich zrzeszeń kobiecych zagranicą również charakterem działalności, w której na podkreślenie zasługuje zakrojona na szeroką skalę akcja ubezpieczeniowa członkiń.

Zapewnienie kobietom polskim w Stanach Zjednoczonych wsparcia podczas choroby lub w razie bezrobocia i ubezpieczenie na wypadek śmierci czy kalectwa, było głównym celem Związku w zaraniu jego istnienia.

Z czasem, w miarę rozrostu Związku (zał. w r. 1898) zrodziła się potrzeba działalności oświatowej wśród kobiet i rodzin polskich oraz pracy usilnej nad utrzymaniem polskości w wychodźcach. Związek nabył własną bibljotekę, zaopatrzoną w najlepsze dzieła i rozpoczął wydawanie tygodnika, do dziś wychodzącego, pod nazwą „Głos Polek".

Wkrótce Związek Polek zaopiekował się także młodzieżą, tworząc specjalny oddział dla małoletnich, t. zw. wianki, w których dziewczęta, późniejsze członkinie oddziałów dla pełnoletnich, zapoznają się z historją i współczesnym dorobkiem polskiego narodu. Najzdolniejszym dziewczętom Związek udziela stypendjów na wyższe studja.

Obecnie Związek Polek w oddziałach dla pełnoletnich liczy 52.880 członkiń, a w oddziale dla małoletnich 7.786 członkiń.

Walne zjazdy Związku Polek odbywają się co cztery lata i noszą nazwę sejmów. W roku ubiegłym w dniach od 22 — 27 września odbył się w Chicago 17-ty sejm Związku Polek w Ameryce.

Jakże bardzo sejm ten różnił się od zjazdów organizacyj kobiecych we Francji. Przedewszystkiem obrady jego nie ukończyły się w jednym dniu, lecz ciągnęły się przez 5 dni i odbywały się na trzech sesjach: rannej, południowej i wieczornej. Ostatnie przeciągały się do późnej nocy, a nawet do rana.

Sejm, jak zwykle, otwarty został bankietem i przemówieniami. 421 delegatek, przybyłych z 14-tu Stanów, przysłuchiwało się obradom, które w pierwszym dniu obejmowały przeważnie sprawozdania.

Ze sprawozdań tych dowiedziano się, że majątek Związku Polek wynosił 30-go czerwca b. r. 4.204.006.37 dolarów.

Drugi dzień poświęcony był m. in. uczczeniu 25-letniego jubileuszu pracy w zarządzie p. Emilji Napieralskiej, długoletniej przewodniczącej Związku. W trzecim i czwartym dniu obradowano nad różnemi sprawami ściśle organizacyjnemi. Z obrad piątego dnia na wymienienie zasługuje uchwała, by komisje stanowe Związku Polek postarały się o zakładanie kolonij letnich dla młodzieży i starszych, na koszt komisji i poszczególnych grup organizacyjnych w stanach. Pozatem obniżono pensje niektórym urzędniczkom.

Wyjaśniamy, że działaczki nasze zapewne wprawi w zdumienie, że tak członkinie zarządu Związku Polek w Ameryce, jak i prezeski stanowe są opłacane z kasy Związku i to wcale nieźle, nawet po obniżce. Prezeska, która otrzymywała dotychczas 6.000 dolarów rocznie, odtąd pobierać będzie „tylko” 3.000 dolarów. Wiceprezesce zniżono pensję z dolarów 1.500 na 800, kasjerce z 3.500 na 2.500 rocznie. Dyrektorki, zamiast 1.500, otrzymywać będą 500 dol. rocznie, a prezeski stanowe 50 — 350 dol. na 4 lata, zależnie od liczby członkiń w Stanie. Inne pensje pozostały te same”.

«JAK Z IGŁY» ALBO «JAK Z PUDEŁKA»

Kilka uwag, zaczerpniętych z doświadczenia, może zechcą Szanowne Panie przeczytać, a potem przystosować, o ile uwierzą, że są praktyczne.

A więc: Miasto ma swoje specjalne wymagania. Jedno z nich jest świeżość ubrania na ulicy, o ile oczywiście dba się o powierzchowność, a tę dbałość, według piszącej te słowa, kobieta zachować powinna do lat, choćby nawet stu.

Otóż, aby zawsze być „jak z igły”, niezawodnym na to środkiem jest nigdy nie nosić tej samej sukni w domu, którą się bierze na ulicę.

Wykluczam tu, oczywiście, kobiety zawodową pracą zajęte, które muszą być ciągle i stale ubrane.

Ale, my, przeciętne kobiety, zajęte domem i pracą w domu, dla nas, najważniejszym środkiem zachowania świeżości ubrania jest, nienoszenie tej samej sukni na ulicy, w której się chodzi w domu.

Daleka jestem od tego „byle jak, byle co”, od przydeptanego pantofla i wszelkiego zaniedbania *na dom*.

Przeciwnie, właśnie na dom trzeba mieć zawsze coś, co przerobione, odświeżone, okraszone, czy jasnym żabotem, czy swobodnem wycięciem u szyi, czy ładną klamerką spięte, byle było do twarzy, zgrabne i szykowne, a swobodne dla każdego ruchu. Ale — do wyjścia, zawsze zostawione w domu.

Wtedy, ubranie na ulicę zostanie niezałamane, niezgniecione, świeże — a do domu, nie przyniesie pyłu ulicznego i trwać będzie nieskalane długie miesiące.

Na ubranie wydawałam przez całe życie, niesłychanie mało, słysząc często pochwałę mego stroju, a szczególniej tego: „jak z pudełka”. Tak. Dbałam o to zawsze i tylko przestrzeganiem usilnem mego systemu osiągałam takie dobre i dla mnie miłe rezultaty.

Stosowałam to i w używaniu obuwia i w zmianie rękawiczek, słowem w największem poszanowaniu mojej zewnętrzności.

Ostatnie buciki, mam siedem lat. Kupione od doskonałego szewca Kasprowicza, który daje wyborne skóry i krój. Robi na zamówienie, i stosuje się do wymagań, co jest rzadko spotykaną a wielką cnotą. Buciki moje są, mimo podeszłego wieku, zgrabne, niepomarszczone, młode. Dlaczego?

Bo, wychodząc, biorę je z kopytka, na którem skórka wyprężona gładziutko, a wracając, natychmiast zdejmuję i nakładam na kopytko, po oczyszczeniu do pudełka, obuwie zaś domowe, miękkie, luźne, na nogi.

Oczywiście te siedem lat, dzieliło z mojemi bucikami i obuwie letnie płócienne, plecionki, lub olbrzymy z gumową podeszwą na spacery w przestrzeń, pełną niespodzianek. Ale te zasadnicze trzewiki, te trwają w formie dlatego, że się je nosi tylko na ulicę i odpowiedniem otacza staraniem, są też najdroższe.

To samo stosować radzę i do rękawiczek i pończoch nawet. Inne na dzień, inne wieczorem. Trudu nie wiele, a zysk duży.

Wszystko odzienie winno w szafie wisieć na ramiączkach. Wieszaki radzę obszywać marszczonym muślinem czy skrawkiem jedwabnym, żeby nie niszczyły materjału, podszewki i t. d.

Pończochy po każdym zdjęciu oglądać. Często kilkoma ruchami igły uprzedzi się dziurkę, bo zasnuje się ją przędzą czy jedwabiem zanim się zrobiła. Rękawiczki, po każdem zdjęciu, przeciągnąć, nie wyjdą z formy. Słowem wszystko otoczyć staraniem. Wtedy będzie się „jak z igły” czy „jak z pudełka” na uciechę i oka i kieszeni. *Mrówka.*



BIELIZNA POŚCIELOWA

Wśród bielizny pościelowej najbardziej ozdobne bywają prześcieradła na kołdrę. Mają one wielorakie formy, jedne jako prostokąty z szerokim obrębem, w którym rozmieszczone są dziurki, służące do przypięcia prześcieradła do kołdry.

Prześcieradło takie zdobi tylko monogram. W Kongresówce nazywają takie prześcieradła również podpinką.

Na podpinkę taką musimy mieć tyle materjału, ile długości ma kołdra z dodaniem czterdzieści ctm. wdłuż i wszerz na zagięcie płótna na wierzch kołdry.

Drugi rodzaj, to podpinka mająca rogi zeszyte, a brzegi zagięte na wierzchu kołdry. Obręb przy brzegu również szeroki z dziurkami na guziki.

Do prześcieradeł takich przypinamy w górnej części, zbliżonej do twarzy, tak zwany fartuszek rozmaitej formy.

Długość takiego fartuszka musi być przystosowana do szerokości kołdry, a szerokość jego zależna od planu ozdobienia go.

A więc jeżeli taki fartuszek ma być równy, to musi mieć przynajmniej trzydzieści ctm. szerokości.

Taki równy kawałek dłuższy od szerokości kołdry o 40—50 ctm. obszywamy koronką lub haftem z jednej strony, a drugą lekko zmarszczoną wszywamy w listewkę podwójną, w której umieszczamy dziurki. Fartuszek taki przypinamy do kołdry, a następnie na wierzch zapinamy górny brzeg prześcieradła.

Podajemy na fotografji haft z takiego fartuszka. Jest to wzór zaczerpnięty ze starej chustki krakowskiej, w którym zwracają uwagę środkowe motywy szyte igłą z nici Nr. 200.

Bardzo ozdobnie wyglądają również fartuszki skrojone w ten sposób, jakby do obrębu przyszyty był róg kwadratowej chusty. W obręb wszywamy część ukośną, a narożnik przypinamy do kołdry, by się nie odchylał. I tu jest również pole fantazji zdobniczej, można dać hafty lub koronki na brzegu narożnika, pojedyncze motywy klockowe, brukselskie koronki lub teneryfy.

Jeżeli zdobimy w ten sposób podpinkę, zróbmy również podobną ozdobę na poszewkach lub jaśkach.

Jest jeszcze inny rodzaj podpinek, który jest podobno bardzo praktyczny z tego względu, że zabezpiecza kołdrę od zbrukania. Jest to tak zwana koperta, w którą wkłada się kołdrę przez otwór w górnej części.

Na taką kopertę bierzemy dwa płaty płótna wielkości kołdry. W jednym wycinamy otwór i zaopatrujemy go obrębem z dziurkami do przypięcia kołdry.

Brzegi tych dwu płatów zeszywamy na lewej stronie wokoło.

Można taką kopertę ozdobić wokoło wyciętego otworu.

Nie jest to już jednak elegancka forma podpinki. *Marja Stefkowa.*

SUKNIA DOMOWA

Dajemy paniom model sukni domowej, wykończony tak modnym dziś szamerowaniem.

Suknię tę można tak uszyć, żeby spódniczka była osobno, a góra osobno — do spódniczki można wtedy zastosować bluzki albo jumperki.

Dajemy paniom również model bluzki wiązanej koło szyi na kokardę, a osobno żabocik, mogący dla rozmaitości zastąpić kokardę.

El. Kot.-Onichimowska.



CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć pożytecznie, że warsztaty dla bezrobotnych harcerek organizuje młode pokolenie przy niektórych swych chorągwiach.

W Katowicach powstała szwalnia, która zatrudnia 20 dziewcząt. W Krakowie zorganizowały harcerki sklep i szwalnię. Na Śląsku także powstaje ruch w tym kierunku, niezmiernie chwalebny i szlachetny.

Wiedzieć należy i pamiętać trzeba, że książka jest skłonna do obrazy i że z nią obchodzić należy się bardzo umiejętnie, żeby jej nie skrzywdzić. Przypomnieć o tem ośmielamy się naszym Czytelniczkom, nie posądzając ich, broń Boże, o popełnianie grzechów na tym punkcie, ale czytamy notatkę, która nas upoważniła do poruszenia tego drażliwego tematu, a opowiada ona bez ceremonji o „wandalizmie czytelników, w bibljotekach publicznych", co brzmi, jak następuje:

„Podczas wystawy książek, poświęconych Abisynji w Publicznej Bibljotece przy ulicy Koszykowej niewykryty sprawca wyciął z cennej encyklopedji kilkanaście stron.

Ten wandalizm nie jest pierwszy, jakiego dopuszczają się czytelnicy w Bibljotece Publicznej, do której uczęszcza przeważnie studjująca młodzież. Normalnem zjawiskiem są kreślenia, dopiski na marginesach książek, nieprzyzwoite uwagi, a nawet korespondencja miłosna. Czytelnicy nie oszczędzają nawet rzadkich wydawnictw, czyniąc w ten sposób niepowetowaną oszkodę kulturze.

Częstem zjawiskiem są kradzieże książek, dokonywane w ten sposób, iż tekst książki zostaje wycięty, a w to miejsce wsunięta bezwartościowa jakaś broszura.

Najbardziej ucierpiały podręczniki naukowe. a w szczególności podręczniki do studjum prawa. Niema prawie ani jednego egzemplarza, któryby nie padł ofiarą wandalizmu.

Prawdziwemu spustoszeniu ulegają wydawnictwa perjodyczne. Roczniki niektórych tygodników literackich są tak zniszczone, iż trzeba je uważać za makulaturę. Powycinano w nich całe stronice, ilustracje i artykuły.

Takie barbarzyństwo zasługuje na tem większe napiętnowanie, iż Bibljoteka Publiczna przy ulicy Koszykowej jest najliberalniej urządzoną instytucją publiczną w Warszawie. Dobrze skompletowane katalogi i wysoce subtelny personel bibljoteczny, służący chętnie czytelnikom informacjami, ułatwiają pracę naukową.

W imię kultury i nauki polskiej przeciwko niszczycielom dobra publicznego należałoby wystąpić z nieubłaganą surowością i ułatwić nielicznemu, a troskliwemu personelowi bibljotecznemu ochronę majątku narodowego".

Słusznie też zaniesiemy prośbę do starannych Matek, aby od najmniejszego czytelnika w domu zaczęły naukę: *„poszanowania książki"*. Załamywanie kartek, nieposzanowanie okładki, kreślenie i pisanie uwag, to wszystko godzi książkę w samo serce. Stąd potem niechęć u szanujących książkę ludzi, do ich wypożyczania, co zwłaszcza obecnie, kiedy coraz mniej mamy na ten miły wydatek, jakim jest niezawodnie posiadanie na własność dobrego dzieła, a co znajduje usprawiedliwienie w „wandalizmie", jakiego się nieraz względem książki dopuszczamy.

Więc przypominać nie zawadzi o poszanowaniu książki własnej, a tem bardziej cudzej, tem bardziej wypożyczonych z bibljotek publicznych.

Wiedzieć trzeba. że niestrudzone „Panie Domu", Nowy Świat 9, organizują wykłady, pokazy, udzielają rad jak oszczędnie palić gaz, jak stosować wydatki do dochodów, jak gospodarować bez kryzysu we własnym domu, wobec kryzysu — na całym świecie. O każdą radę do „Pań Domu" zwracać się należy, na członka się zapisywać i wierzyć, że każda rada z tego źródła płynąca jest niezawodnie dobra.



Wiedzieć bardzo miło, że w Płocku rozwija się doskonale Stowarzyszenie Kobiet katolickich, które liczy 107 oddziałów w diecezji i 4.783 członkiń. W Ciechanowie odbył się zjazd delegowanych Stowarzyszenia i że nań przybyło 350 osób. Cyfry, jakichby się i stolica nie powstydziła. J. E. Ks. Arcybiskup A. J. Nowowiejski zaszczycił zjazd swą obecnością, odprawił Mszę św., a 30 księży asystentów kościelnych wzięło udział w tej podniosłej uroczystości,

Wiedzieć trzeba i objaśniać drugich, że studencka kuchnia w Uniwersytecie funkcjonuje, zorganizowana przez „Bratnią Pomoc", poświęcona przez J. E. Ks. Biskupa Szlagowskiego, przyjaciela młodzieży. Stworzona dobrą wolą rektorów, profesorów i składkami dobrowolnemi wszystkich członków „Bratniaka", nawet ofiarami publiczności, jest w możności wydawania obiadów tanich, zdrowych, obfitych, a często bezpłatnych i ulgowych.

Wszyscy winniśmy dokładać bodaj najmniejszy datek, na to, aby młodzież nasza, mozolnie zdobywająca wiedzę, nie borykała się — z głodem.

Wiedzieć trzeba i objaśniać dokoła kogo należy, że: min. skarbu przypomniało w specjalnym okólniku przepisy, dotyczące przedawnienia roszczeń emerytalnych.

Na mocy tych przepisów funkcjonarjusze państwowi i zawodowi wojskowi, którzy przestali pełnić służbę, oraz wdowy i sieroty po tych osobach, których uprawnienia emerytalne nie były dotychczas rozpatrywane, powinni wnieść pisemne zgłoszenia swych roszczeń do 30 czerwca 1936 r. Niezgłoszenie uprawnień w tym terminie powoduje ich wygaśnięcie.

Wiedzieć trzeba, że został ogłoszony konkurs na pracę poświęconą zwalczaniu raka, tej strasznej plagi ludzkości, która rozprzestrzenia się z niebywałą szybkością, a dajemy tę notatkę jeszcze i dlatego, żeby przypomnieć o baczności niezaniedbywania pierwszych oznak niedomogów. Wczesne zapobieganie rozrostowi choroby, może jedynie uchronić od nieubłaganych niszczących organizm skutków, Instytut Radowy, Wawelska 15. *R.*

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Pani W. Zag — w Warszawie. Zupełnie słuszne są uwagi Sz. Pani. Nazywa Sz. Pani „zbrodniczą obojętnością, dopuszczenie przez mieszkańców miljonowej Stolicy do tego, żeby, nawet w nocy, gromady dzieci rzucały się, żebrząc, na przechodniów". Właśnie w tej chwili, czytamy w „Kur. Warszawskim", co za nim powtarzamy, że Komitet „Związku Przeciwżebraczego" energicznie pracuje, że zdobył ze zbiórki ulicznej na cele Związku 2.000 złotych, że p. dr. J. Nowicka stanęła na czele komisji, która ma się zająć w porozumieniu z Wydz. Opieki zarządu miejskiego w celu zorganizowania zakładu opiekuńczego dla żebrzących i opuszczonych dzieci. Skoro tem zajęła się *kobieta*, sprawa ożyje niebawem.

Panna Wanda M... w Łomży, jak najgoręcej zachęcamy do dalszej pracy. Nauczyć, choćby jednego analfabetę czytania, to już zasługa, cóż dopiero, jeśli już zorganizowała Pani *dziesięć* koleżanek, z których każda ma po dwoje uczniów i, jak Pani pisze — pojętnych. Brawo! A na dalszą robotę: Szczęść Boże!

P. W. R. w Warszawie polecić możemy p. Z. Skupieńską, masażystkę dyplomowaną, która wykonywa wszelkie masaże lecznicze, zabiegi kosmetyczne, telefon 8.64.26 w godz. 2—4 i 6—9.

P. Marji N... z Piotrkowa. Poseł kaliski, jen. Sławoj-Składkowski, zajął się losem bezrobocia w Kaliszu i wyjednał w Intendenturze zamówienie na buty dla wojska. Co miesiąc, narazie mają zamówienia rzemieślnicy na tysiąc par obuwia. Wojskowa intendentura dostarcza materjał, robotę daje rzemieślnik. Oprócz tego Kalisz i Turek otrzymują zamówienia na 1.200 sztuk bielizny miesięcznie.

Szewc otrzyma 4 zł 9 gr od pary butów za pracę.

Szwaczka, szyjąc na swej maszynie, 80 gr od koszuli.

Pierwsza nędza może być zażegnana, a nadzieja dalszej stałej pracy, już jest wielce pożądanym, bo kojącym pierwiastkiem dla zrozpaczonych bezrobociem ludzi.

„Dobrej Gospodyni" w Nieszawie. Wywóz bekonów zawsze utrzymuje się w mierze. W sierpniu ub. r. wywieźliśmy 1.778.627 kg bekonów wartości 3.452.430 zł. Oprócz tego szynki peklowane, szynki w puszkach, peklowane przetwory mięsne, ozorki peklowane wysyłamy do Anglji w znacznych ilościach. Dotąd towar nasz zadawalnia odbiorców i mamy nadzieję, że będzie stałym eksportem zagranicę.

P. Marji Ciesz... w Milanówku. Jakgdyby kto podsłuchał życzenia Pani. W pięknej siedzibie, gromadzącej pamiątki po genjalnym Chopinie — już zaprowadzona jest elektryczność. Będzie to kiedyś piękny dokument naszej zbiorowej czci dla wielkiego Mistrza. Jeśli dotąd niema jeszcze tylu pamiątek, ile napewno jest wśród nas, to niezawodnie tylko dlatego, że jest niewielu ludzi, którzy za życia chcą się z niemi rozstawać.

KĄCIK DLA DZIECI

W MARCU

Marysia i Józio mieli koklusz, nieprzyjemna to choroba i bardzo męcząca dzieci; ponieważ uporczywy kaszel nie ustawał, kazał im doktór wyjechać z miasta. Rodzice zawieźli je na wieś do babci. Szybko tam wracały dzieci do zdrowia, choć pora roku nie nadawała się do spacerów, ale i na podwórku tyle było ciekawych rzeczy, nieznanych mieszkańcom miasta. A przedewszystkiem ptaszki. Babcia bardzo lubiła wszystkie ptaszyny i karmiła je przez zimę całą, znały ją też ptaszki i do rąk jej przychodziły. Wróble dzieci znały, ale pojawiali się i inni goście, nieznani Marysi i Józiowi, o których babcia opowiadała im różne ciekawe rzeczy. Wróble babcia nazywała leniuchami, pasibrzuchami, plotkarzami, ale uśmiechała się do nich wesoło, mówiąc: szkodne to one są, bo i młode zboże wyjadają i wisienki w sadzie jedzą, wszędzie ich pełno. ale wesołe to, sprytne, a i tak jakiś pożytek muszą przynosić, zresztą wiernie swojej ziemi się trzymają, z człowiekiem tyle lat żyją — niech tam się pożywia — i hojną ręką sypała im poślad. — Babciu, a te szare ptaszki z żółtym brzuszkiem? A to nasi przyjaciele, trznadle, w lecie siedzą po krzakach nad łąkami, brzegach lasu, ogrodach, tępią muchy i szkodne owady, a za to w zimie przychodzą do ludzi, trzeba ich przeżywić, tych naszych pomocników, a słyszycie, jak śpiewają, cir, cir, cir, nie tak pięknie jak słowik, lub skowronek, ale miło to usłyszeć, w zimie śpiew ptaszyny. A popatrzcie jakie oswojone — tu babcia wyciągnęła rękę, pełną ziarna, i zaraz z drzewa sfrunął trznadel i, usiadłszy na ręce babcinej, pracowicie jął się pożywiać. — Babciu! — krzyknął Józio — a to co za ptaszek z czubkiem, trochę przypomina skowronka? Spojrzał babcia przez okulary: — A to dzierlatka, inaczej pośmieciuszka, bo o ile w lecie w polu się gnieździ i żywi owadami i pędrakami, to w zimie do ludzi ciągnie i, grzebiąc po podwórkach, szuka pożywienia, to też nasz sprzymierzeniec. A tego ptaszka widzicie? — wskazała w gromadzie wróbli, sporego ptaszka z ciemnokasztanowatym grzbietem, modro popielatym łebkiem i dwiema przepaskami na skrzydłach białą i żółtawą. — Prawda, babciu, jaki on śliczny! — To jest pan zięba.— A ja słyszałem — zawołał Józio — że zięby odlatują na zimę. — I dobrze słyszałeś — przytaknęła babcia — zięby odlatują, ale nie wszystkie, zwykle pewna ilość starszych samczyków zostaje w kraju. Wysyłają dzieci i żony na południe, a same zostają — może im już ciężki taki lot, może im swojej ziemi żal. — A czy one śpiewają? — Owszem, ale dopiero na wiosnę, gdy ich rodziny wrócą i zaczynają gniazdka słać.

W kilka dni potem, podczas karmienia ptaków usłyszały dzieci na drzewie donośny śpiew, uśmiechnęła się babcia: — Ej! patrzcie no, wrócił już nasz sprzymierzeniec ważny, szpak kochany. — W tej chwili sfrunął z drzewa ptaszek czarny, rudawo nakrapiany, z białym brzuszkiem i gdy przysiadł na ziemi, trudno go było na niej odróżnić. Wtem zabłysnęło słonko i jasnemi promieniami oświeciło szpaczka i naraz w oczach dzieci zmienił się czarny ptaszek, głowa i szyja zabłysła mu złocisto-fioletowo, piersi i plecy zielono, a brzuszek szafirowo. — Babciu! — krzyknęły dzieci. W tej chwili słonko schowało się za chmury i znów dzieci ujrzały małego czarnego ptaszka, siedzącego na ziemi. — Babciu! — wołały jedno przez drugie, to chyba ten szpak jakiś czarodziej, dopiero był taki śliczny i już czarny... może to zaklęty królewicz — domyślała się Marysia. Roześmiała się babcia: — Słonko jest tym czarodziejem, załamuje swe światło w piórkach szpaka i wywołuje te piękne barwy, podobnie jak to nieraz lusterkiem rzucacie, światełka i kolory się różne pokazują. No chodźcie teraz, zobaczymy, czy w ogrodzie skrzynka dla szpaczka już gotowa, żeby w niej gniazdko usłał, a jutro jeśli będzie pogoda, poproszę dziadzi, by was wziął w pole, to zobaczycie jeszcze niejedne ptaszki, które teraz przylatują, jak krogulce małe, pustułkę, polującą na myszy. — W tej chwili odezwał się głos dziadzi: — Dzieci, dzieci, chodźcie prędko, przyleciał bociek, siadł na starem gnieździe, słyszycie jak klekoce. — „A nad czyją on chałupą, z tym nie będzie latoś krucho!".

H. Rostafińska-Chojnowska.

O KRASNALKACH

Już znudziło się pod ziemią
Siedzieć krasnoludkom,
Muszą wyjrzeć z popod ziemi
Chociażby na krótko.
Może idzie już wiosenka?
Przekonać się trzeba,
Trochę powietrza zaczerpnąć
Skrawek ujrzeć nieba.
Lecz wysunąć się nad ziemię
Próżna to ochota,
Bo nad ziemią przysiadł cicho
Siwy mróz niecnota.
I gdy tylko krasnalkowa
Ukaże się głowa, —
Zaraz ci go mróz w nos szczypnie
I krasnal się chowa.
I byłyby krasnoludki
Pod ziemią zostały,
Żeby nie był im dopomógł
Promień słońca mały.
Przygrzał ci on imci mroza,
Zaświecił mu w oczy,
Że aż kichnął mróz potężnie,
Łza z ócz mu się toczy.
Zeszłoroczny mróz się zerwał
I jak oparzony
Leci poskarżyć się zimie:
Hen! w północne strony.
Wywabione słońcem wyszły
Krasnoludki z ziemi,
Śmiejąc się z konfuzji mrozu —
Promyczek wraz z niemi.

H. R. Ch.

KUJE KOWAL

Kuje kowal ciężkim młotem
Aż kowadło dźwięczy,
Lecą wokół złote iskry
Z żelaznej obręczy.
A na cóż ta obręcz będzie?
Na koła do wozu,
Boć już pora sanie schować,
Kiedy niema mrozu.
Kuje kowal ciężkim młotem
Podkowę konika.
Koni ostro kuć nie trzeba,
Kiedy lód już znika.
Kuje kowal ciężkim młotem
Lemiesze do pługa.
Hej, popłynie po nich w orce
Czarnej ziemi struga.
Kuje kowal ciężkim młotem
Nowe zęby bronie.
Hej, po roli zaoranej
Pociągną ją konie.
Kuje kowal ciężkim młotem
Pełno jest roboty,
Gdy zwiastował na wiosenkę,
Promień słońca złoty.

H. R. Ch.

NA ŚWIĘTEGO GRZEGORZA

Na świętego Grzegorza
Idą lody do morza.
Hen do morza naszego
Aż do Gdańska samego,
A od Gdańska do Gdyni
Tego morza władczyni.

H. R. Ch.

DO DZIECI

Ach! jakże kiedyś żałować będziecie
tych waszych czasów, które jak sen minną...

Żyjecie w raju, pod pieczą matczyną,
gdy my samotni już przeważnie w świecie.

Hej! jakże kiedyś żałować będziecie
tych waszych czasów, które jak sen minną!

St. Witowski.

ZAGADKI

Kto wymiata wszystkie kąty
U niego tego nie będzie,
Lecz kto sprzątania nie lubi,
Tego ma on pełno wszędzie.

* * *

Czerwone sukienki,
Zielone czuprynki,
W pęczki powiązane,
Co to za jarzynki?

* * *

Chociaż nie rybak
O łódkę nie pyta,
Sieci rozpina
I w nie zdobycz chwyta.

H. R. Ch.

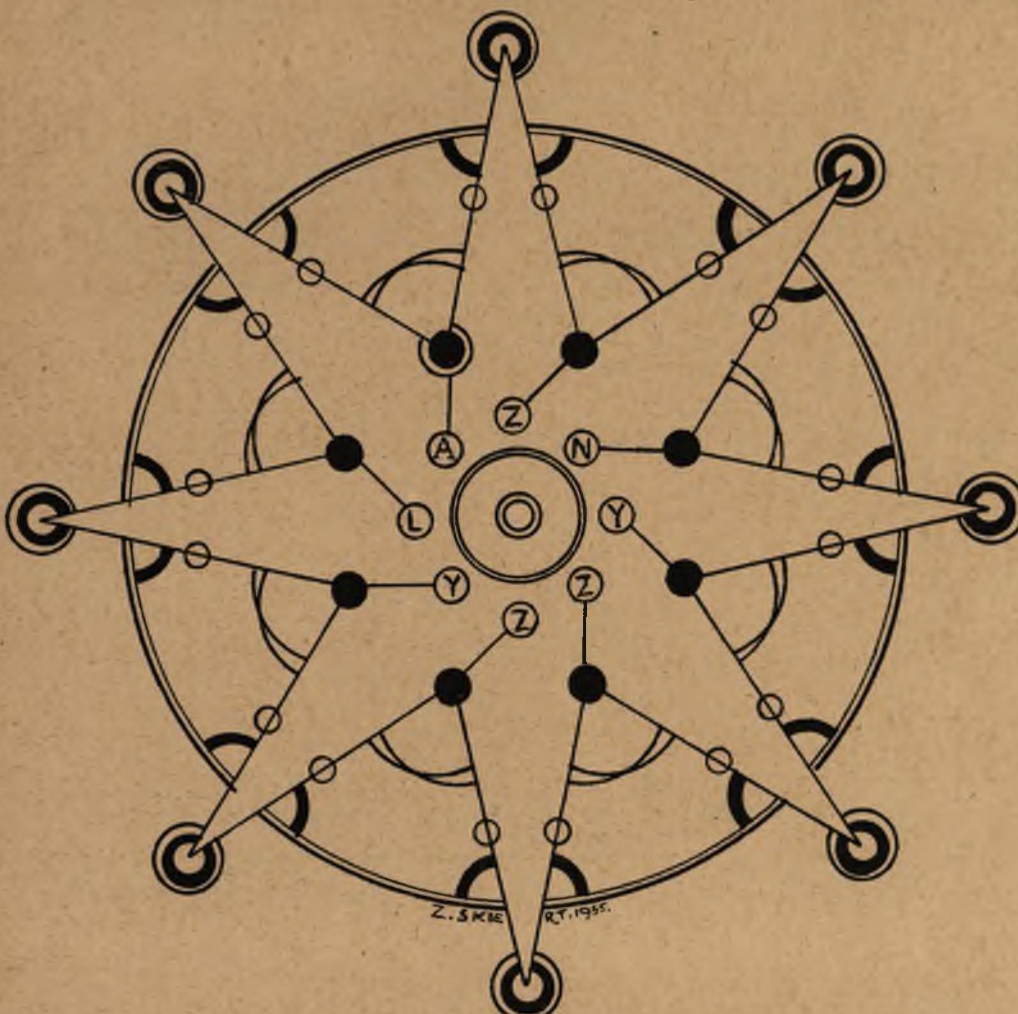
Redaktor: Dr. Józef Zawidzki. Wydawcy: Stow. Mis. Księży Pallotynów.

Redaktorka działu kobiecego: Lucyna Kotarbińska.

ROZRYWKI ? UMYSŁOWE

POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

LOGOGRYF



W ramionach gwiazdy należy wpisać 8 sześcioliterowych wyrazów o podanych niżej znaczeniach, począwszy od lewego czarnego kółka każdego ramienia, w kierunku zegarowym. Litery w kółkach końcowych ramion (dookoła figury) dadzą rozwiązanie, które podać można bez wyrazów pomocniczych. Dla ułatwienia podajemy końcowe litery wyrazów na miejscu właściwem.

Znaczenia wyrazów:

1. Wegietarjanin. 2. Naczelny wódz w Japonji za czasów feudalnych. 3. Posiadający wysoką wiedzę (mędrzec). 4. Jezioro w Wileńskiem. 5. Dochód z nieruchomości. 6. Stepy w Ameryce Południowej. 7. Metal. 8. Różnobarwna powłoka szklista, używana do pokrywania wyrobów z metali.

Z. Skiert

FIGIEL REBUSOWY



Figiel rebusowy, jednowyrazowy, — a dla ułatwienia zdradzę do połowy: że w pewnej krainie, obca rzeka płynie.

T. Goszcz

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NRU STYCZNIOWEGO:

Logogryf gwiazdkowy:

Noc Święta. Już Aniołów roje
wstąpiły na niebiański próg, —
my z nimi złączmy pienia swoje,
bo przyszedł Zbawca Świata Bóg.

Ciągówka w krzyżówce:

Wesołych Świąt!

Nagrody książkowe otrzymują: **p. Stefan Kamil** z Bobrowa i **p. inż. Zygmunt Słowikowski** z Warszawy.

DRODZY CZYTELNICY!

Zwracam się tą drogą do każdej szlachetnej duszy z serdeczną i bardzo gorącą prośbą o ofiarę choć 1 złotego na budowę kościoła w Zasmykach, w nowoutworzonej i bardzo ubogiej parafji na Wołyniu. Parafja ta nie posiada dotąd kościoła ani kaplicy; nabożeństwa odprawiane są w mieszkalnym domku wiejskim, w którym ledwie garstka ludzi może się zmieścić. Niech więc każdy, komu droga jest polskość i katolicyzm na Wołyniu, pośpieszy z najmniejszą choćby ofiarą, a dobry Bóg stokrotnie mu za to zapłaci.

Ofiary proszę składać na konto czekowe PKO. Nr. 144.613.

Ks. K. Mackiewicz,

proboszcz rz.-kat. parafji w Zasmykach, poczta Lubitów.

Wkłady oszczędnościowe w P. K. O. w miesiącu styczniu 1936 r.

W miesiącu styczniu wkłady oszczędnościowe, jak również liczba oszczędzających wykazują dalszy bardzo poważny wzrost. Wkłady oszczędnościowe wzrosły o 13.757,080 złotych, osiągając na dzień 31 stycznia 1936 roku stan 692.996.576 zł.

Jednocześnie ze wzrostem wkładów oszczędnościowych wzrosła w tym czasie i liczba oszczędzających w P. K. O. W ciągu stycznia r. b. P. K. O. wydała 53.700 nowych książeczek oszczędnościowych, osiągając na dzień 31 stycznia 1936 roku ogólną ilość 1.935.183 czynnych książeczek.

PIELGRZYMKA WIOSENNA DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

Coraz większe zainteresowanie wzbudza pielgrzymka do Ziemi Św. organizowana przez Diec. Instytut Akcji Katolickiej (Lublin, ul. Zielona 3) oraz Ligę Katolicką (Katowice, Piłsudskiego 58). Protektorat i osobiste kierownictwo duchowne nad pielgrzymką objął J. E. Ks. Biskup Adolf Jełowicki.

„Polonią“ dotrze pielgrzymka z Constanzy w Rumunji do portu palestyńskiego Jaffa, by następnie samochodami przenieść się do Jerozolimy, skąd zwiedzać będzie Betleem, Ajn Karim, Nazaret, Jerycho, Morze Martwe, Górę Tabor, jez. Tyberjackie, Kafarnaum, Generazet, Kanę Galilejską i Górę Karmel. Najpiękniejsze wzruszenia przeżyją pielgrzymi na widok miejsc, gdzie przed dwoma tysiącami lat stąpał Chrystus Pan, gdzie nauczał, czynił cuda i poniósł Mękę.

Termin pielgrzymki — 14 kwietnia — 5 maja przypada na czas, kiedy wiosna z całym jej urokiem jest w Palestynie w pełni rozkwitu, a okresu upałów jeszcze niema.

Program drogi powrotnej przyniesie uczestnikom szereg nowych, wspaniałych wrażeń: zwiedzanie kolebki naszej kultury — Aten i wszystkich cudów sztuki starohelleńskiej oraz Konstantynopola z zabytkami starochrześcijańskiemi i tureckiemi.

W pierwszych dniach maja powrócą pielgrzymi do kraju unosząc ze sobą skarb najpiękniejszych wrażeń i wspomnień.

Organizacja techniczna — biuro pielgrzymkowe: FRANCOPOL.

Dokończenie art. Kryzys szarego człowieka.

Ledwie zamknęła się furtka za tamtą, gdy wchodzi inna, istotnie stara żebraczka. Tej już nie proponuję pracy, tylko daję kawałek chleba z masłem.

Żebraczka pogardliwie spogląda na moją jałmużnę, poczem po chwili, zanim zdołałam się zorjentować, przykleja chleb, masłem do schodów.

— Co wy robicie? — wołam.

— Niech se pani sama zji, albo da pieskowi, ja nie chce chleba tylko pieniędzy.

Natychmiast każę babie wynosić się.

— A dobrze, dobrze, ide juz, i omijać bende takich państwa, co 10 groszy żałujom!

To, na co patrzyłam własnemi oczyma, wydawało mi się koszmarną farsą.

I znów, może zaledwie w pół godziny, skrzypnęła furtka. Tym razem płeć odmienna — żebrak z kijem i torbą.

Słucham cierpliwie litanji i westchnień, poczem już zupełnie mimowoli proponuję mu pielenie ogrodu.

Żebrak podskoczył jak oparzony.

— Z dęba pani spadła — wrzeszczy — słyszane to rzeczy zawodowego dziada pędzić do roboty, jak pierwszego lepszego! — Warjatka!

Złość moja niema już granic. Przepędzam dziada i zamykam furtkę na klucz.

Jak na jeden dzień dość wrażeń!

To były fakty z życia. Chętnie podejmę dyskusję, gdy ktoś będzie przeciwnego zdania.

A teraz chyba mogę powiedzieć, że bezrobocia niema — niema ludzi do pracy. I nietylko do tego rodzaju prac, ale i rzemieślników zawodowych. Np. do reparacji komina na prowincji trzeba murarza sprowadzać z miasta, buty wozić do zelowania w mieście i t. d. i t. d.

A tymczasem ekonomiści zatopieni w naukowych poszukiwaniach środków zwalczania kryzysu, nie dostrzegają, że on już skończył się, bezrobocia niema. Jest tylko nadmiar pracy dla ludzi pracujących.

Może korzystniej byłoby stworzyć nowe metody produkcji człowieka do pracy, niż pogłębiać podział ludzi na tych, którzy ciężko i podwójnie pracują, płacąc jednocześnie haracz na tych, którzy nie pracują i nie chcą pracować.

Na co idą te krociowe sumy potrącane z zarobków pracującej części społeczeństwa, jeśli nie na — demoralizację tej niepracującej.

Dziś pojęcie bezrobotnego jest to prawie synonim zawodu, precedens do wykorzystywania każdej sytuacji, do otrzymania pieniędzy bez wysiłku fizycznego i korzystanie z praw uprzywilejowanych.

Wygodnie jest być bezrobotnym. Można darmo mieszkać. Oprócz tego otrzymuje się zasiłek. Dzieci w szkole żywione są przez „Komitet Dożywiania Dzieci“, litościwi ludzie też dadzą coś od czasu do czasu.

Jednem słowem, człowieku z proletarjatu, jeśli chcesz żyć wygodnie, stań się bezrobotnym. Brzmi to paradoksalnie, ale, niestety, boleśnie prawdziwie.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. —zł 700, ½ — zł 380, ¼ — zł 200, ⅛ — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ“ W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOSI:

ROCZNIE:

Polska	6 zł.	Czechosłowacja	40 kor. cz.
Niemcy	5 R. mk.	Ameryka	2 dolary
Francja	25 frank	Inne kraje	7 fr. szw.

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł; KWARTALNA — 1.50 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 50 gr.

Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon: 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15—17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.